Po konfiskacie nakład drugi.

Rok I. Lwów, 1. Maja 1899. Nr. 4.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi:
rocznie złr. 1.60, z przesyłką 1.84 — kwartalnie 40 ct., z przesyłką 46 ct. — Numer pojedynczy 18 ct. (z powodu zwiększonej objętości).

Adres Redakcyi: Lwów, ulica Kurkowa l. 14. Filia administracyi w Krakowie przy ulicy św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". — Krasiński.

Konkurs.

Redakcya „Promienia" ogłasza konkurs na wiersz. Wiersz ten ma być napisany na cześć Juliusza Słowackiego, którego 50-letnią rocznicę zgonu w tym roku właśnie obchodzimy. Najlepszy utwór otrzyma nagrodę w **kwocie 10 złr.** i będzie ogłoszony wraz z dwoma następnymi najlepszymi wierszami w **lipcowym** numerze naszego pisma. Wiersz należy opatrzyć pseudonimem, nazwisko zaś autora powinno znajdować się w osobnej kopercie zapieczętowanej.

Termin nadsyłania wierszy do dnia 15 czerwca b. r.

O wyrabianiu charakteru.

Istotną cechę każdego człowieka stanowi to, co nazywamy charakterem. Charakter wyróżnia jednostkę od masy istot ludzkich, jest przyczyną, że wielu ludzi w jednych i tych samych okolicznościach odmiennie postępuje, wspólne nakoniec albo sprzeczne jego cechy sprawiają, że ludzie kochają się lub nienawidzą, szanują lub gardzą sobą nawzajem. Charakter może się objawić w dobrem, jak i w złem. Bez względu jednak na to czy on się w dobrem albo złem objawia, sam przez się stanowi on zawsze dodatnią stronę człowieka i wszędzie tam, gdzie ludzie dla wspólnej pracy i wspólnych celów się łączą, w rodzinie, w stowarzyszeniach, w społeczeństwie najszkodliwszy i najcięższy balast, stanowią jednostki bez charakteru. A chociaż charakter na fałszywych oprze się pojęciach, z czasem zawsze otrząśnie się z kłamstwa i dojdzie tam, gdzie dla nas wszystkich cel ostateczny: do światła i prawdy.

Psychologiczne określenie charakteru jest rzeczą trudniejszą i wymagałoby obszerniejszego studyum, jakiem szczupłe ramy tego artykułu być nie mogą i dlatego ograniczymy się tylko na tem, że przedstawimy 1) jak pod wpływem różnorodnych warunków charakter się rozwija i 2) jak go dalej samodzielnie wyrabiać należy.

Niemowlę przychodzące z łona matki na światło dzienne, to „tabula rasa" powiadają psychologowie. Jest ono tak czułe i dostępne

najlżejszym wpływom zewnętrznego uwarunkowania, jak płyta fotograficzna promieniom światła. Zrazu dziecko doznaje tylko najelementarniejszych wrażeń, wypływających z fizyologicznych własności jego zmysłów, więc zaspakaja głód mlekiem matki, otrzymuje wrażenia dotyku, odczuwa ból i t. p. Ale w miarę rozwoju organizmu, poszczególne zmysły rozwijają się, system nerwowy się doskonali i coraz więcej zewnętrznych wpływów znajduje dostęp i odbicie w budzącej się samowiedzy dziecka.

Od chwili, gdy niemowlę wyszedłszy ze swego — jeśli się tak wyrazić można — fizyologicznego okresu istnienia, zaczyna spoglądać po najbliższych przedmiotach, uśmiechać się lub płakać na widok otaczających osób, czyli z chwilą, kiedy zaczyna pracować także mózgiem — układają się podstawy jego przyszłego charakteru. Ubogie sprzęty chaty biedaka, w której się dziecko wychowuje, zostawiają tak samo wrażenie w jego świadomości, jak bogate aksamity i gładkie meble w zamożnym domu pańskim. Wyrobnik lub wieśniak mówiąc do syna nie wyszukuje ładnych słówek i zwrotów retorycznych, ale mówi po prostu, nieraz szorstko. Tutaj dziecko nie słyszy ani nie zrozumiałych dla siebie rozmów o rzeczach, których poziom jego inteligencyi jeszcze z pożytkiem wchłonąć nie może, ani nie nasiąka już od pierwszych chwil rozeznania owemi martwemi formułkami różnych kodeksów towarzyskich. Przeciwnie widzi tu codzień tylko zaspokojenie niezbędnych potrzeb życiowych, a często ciężką walkę o zdobycie środków do życia. Tu niema warunków ku temu, by dziecko słuchało rozmów w cudzym języku, lub uczyło się, co wypada a co nie wypada. Tu niejako sama natura szorstko i brutalnie, ale też i ochronnie od wielu szkodliwych wpływów wychowuje przyszłego człowieka. Tymczasem dziecko, wychowane w przeciętnym domu zamożnym nie odczuwa nigdy żadnych braków, żadnych przeciwności, przeto już w zawiązku funkcyonowania swoich władz umysłowych i duchowych wyrabia w sobie niezrozumienie odmiennych warunków życia. Nie przypuszcza nawet, by gdzieś mogło być inaczej, jak jest u niego w domu. Wyrabiają się stąd często u takiego dziecka początki egoizmu i kastowości.

Dlatego to często się zdarza, że chłopak z ludu w naukach n. p. więcej okazuje zdolności, wrodzonego sprytu i łatwości pojmowania, aniżeli nie jeden paniczyk, który z domu przynosi do szkoły już znaczny zasób wiadomości i pewną inteligencyę powierzchowną. Łatwo to wytłumaczyć. W pierwszym razie umysł dziecka pozostawiony naturalnemu rozwojowi i nie będący w konieczności przyjmowania więcej, niż pomieścić zdoła, zachowuje swą czerstwość, świeżość i energię, staje się wrażliwszym i podatniejszym na wszelkie zjawiska — podczas gdy chłopak z „inteligencyi“ mając umysł naładowany mnóstwem wiadomości, nieraz zupełnie zbędnych, jest przedwcześnie rozwinięty, a przezto mniej pojętny.

To są te — ogólnie nakreślone — wpływy zewnętrzne. Ale w wytworzeniu się charakteru odgrywają wielką rolę także wpływy w e w n ę t r z n e.

Zaczynają się one od chwili, gdy w dziecku budzi się samowiedza, kiedy jego umysł w naturalnym swoim rozwoju ze stanu biernego przyjmowania i grupowania wrażeń zewnętrznych, przechodzi w stan czynny, zaczyna się zastanawiać, oceniać, analizować i syntezować. I tutaj znów rozstrzygają te pierwsze wrażenia, te warunki i okoliczności w jakich dziecko wzrosło i wychowało się o tem, jakie chłopak będzie sobie wyrabiał sądy o każdym przedmiocie.

Widzimy więc, że decydującym czynnikiem w tworzeniu się charakteru jest w y c h o w a n i e, począwszy od swego pierwotnego, szczupłego zakresu działania, mającego na celu jedynie przyjście z pomocą fizycznemu niedołęstwu dziecka, aż do najszerszego kształcenia umysłowego i moralnego.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że z chwilą, gdy dom rodzicielski i szkoła (o ile ta ostatnia u nas ma jaki wpływ na wyrobienie charakteru) zamyka swą działalność wychowawczą, kończy się zarazem i materyał, z którego charakter powstaje. Na tej granicy kończy się tylko pewien okres formowania się jego. Przedstawiając rzecz popularnie, powiedzmy, że tutaj kończy się układanie fundamentów pod przyszłą budowę. Od tego zaś przez kogo, jak i z jakiego surowca one powstały, zależeć będzie trwałość, wartość i siła gmachu, który się na nich oprze.

To, co nazywamy s k r y s t a l i z o w a n i e m się c h a r a k t e r u, następuje dopiero od

chwili wystąpienia na arenie życia samodzielnie. Wtenczas dopiero praca całego wychowania przechodzi próbę ogniową i wtedy dopiero okazuje się, czy ona miała podstawy rzetelne i właściwe, czy też opierała się na kruchych formułach i błędnem pojmowaniu rzeczy — czy była racyonalną, czy spaczoną. Granica samodzielnego wystąpienia w życiu nie jest oczywiście dla każdej jednostki ta sama. Nie jeden już w szkołach średnich, a nawet wcześniej jest samodzielnym, nie jeden też po ukończeniu studyów uniwersyteckich i technickich takim nie będzie, a i jako człowiek dojrzały będzie potrzebował przewodnika i kierunku.

Z kolei zastanówmy się nad pytaniem drugiem, jak się wyrabia charakter.

Niezależnie od wpływów wychowania i szkoły, człowiek, gdy dojdzie do zupełnej świadomości swego istnienia i przeznaczenia, może a raczej powinien dążyć do tego, by w sobie wyrobił charakter, by życie swoje stosował i kierował według pewnych wytycznych zasad, które właśnie są wynikiem jego osobistej oceny życia i spraw jego, ludzi i czynów ich.

Są narody i społeczeństwa, których młodzież znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, że szkoła wypełnia i niweluje te braki, które odnośnie do charakteru zaniedbało wychowanie w domu. Takim szczęśliwym i rozumnym zarazem narodem są n. p. Anglicy i Amerykanie. To też widzimy tam energię, widzimy inicyatywę, siłę woli, wytrwałość i żelazną konsekwencyę w osiąganiu celów. A te zalety należą nie tylko do jednostek, ale są wrodzone całemu społeczeństwu. Więc gdy inne ludy szamocą się w śmiertelnych zapasach z nowemi prądami społecznemi, które wstrząsają całą ich budową państwową i szukają nadaremnie środków ochronnych — Anglo-Sasi patrzą spokojnie w przyszłość, a ten spokój daje im świadomość, że spełniają rzetelnie obowiązek względem młodego pokolenia, kształcąc w niem najpierw charaktery a potem mózgi!

U nas inaczej, Na całym obszarze ziem polskich, abstrahując od różnic, wypływających z odrębności ustroju politycznego — istnieją dwa systemy szkół: jedne muszą wypaczać charaktery, drugie ich nie kształcą, choć mogą i powinne. Pierwszą cechę mają szkoły w Królestwie Polskiem i krajach zabranych, drugą szkoły galicyjskie, a poniekąd i w Poznańskiem. Fatalne skutki, jakie obie kategorye tych szkół przynoszą społeczeństwu, mniej szkodliwe są te, które płyną z policyjno-represyjnej szkoły moskiewskiej, niż te, które za sobą sprowadza rzekomo na narodowych podstawach oparta szkoła galicyjska.

Z doświadczenia bowiem znaną jest rzeczą, że charakter prędzej się wyrobi i silniej zahartuje, jeżeli ma ciężkie warunki bytu. W takich okolicznościach człowiek ciągle o tem pamięta, że czego walką, przebojem nie zdobędzie, tego mu nikt z dobrej woli nie da, drogi mu nie ułatwi. Taki człowiek stoi wobec dwóch ostateczności: albo bezczynny da się porwać wrogiemu losowi, albo opierając się na własnych siłach, zwycięży. Oczywiście na 100 znajdujących się w takiem położeniu, jedna trzecia zerwie się do czynu, poruszy wszystkie zasoby energii, woli i hartu ducha i nie upadnie, dwie trzecie zaś przeniosa niemoc nad wstrętny im wysiłek, wyrzekną się raczej wszystkiego, byle nie potrzebowali się wytężać. Ale też ci, którzy wyjdą z takiej walki z losem, uniosą z niej najdroższą perłę, będą ludźmi charakteru.

Widzimy to na żywych przykładach, których nam dostarcza młodzież z zaboru rosyjskiego. Przewyższa ona galicyjską doświadczeniem życiowem, trzeźwością sądu i jasno wytkniętymi celami.

W Anglii więc społeczeństwo wyrabia charakter u młodzieży, gdzie indziej n. p. w Królestwie warunki, a u nas w Galicyi ani społeczeństwo, ani szkoła, ani warunki. Pozostaje zatem jedyny środek, by tutaj młodzież pracowała sama nad wyrobieniem charakteru. Zapewne są i tutaj wyjątki, które zdobywając wiedzę, zdobywają z nią codzienne chleb, one też stanowią nie liczny procent dzielnych jednostek, ale są to tylko wyjątki. A nam przecież tak bardzo potrzeba charakterów! Kraj nasz upadł brakiem charakterów — dzisiaj mamy przykłady w oczy się rzucające, jak narody, państwa, społeczeństwa stojące na czele cywilizacyi, brakiem tych charakterów, staczają się w przepaść.

Żmudna to zapewne i nie łatwa praca wyrabiać w sobie charakter, walczyć z sobą samym tam, gdzie ani wyjątkowe warunki

nie są do tego naturalnym bodźcem, ani nie widzi się tak wiele przykładów porywających, godnych naśladowania. Ale też tem większa zasługa, gdy wśród takich okoliczności on się wytworzy. Charakteru nie wyrabia się przyjemnostkami, ale szorstkiem oderwaniem się od ich mamiących blasków — nie folgowaniem namiętnościom, ale żelaznem trzymaniem ich w karbach. Ospałości i lekkomyślności przeciwstawiając siłę woli i rozwagę — niechęci do wysiłku energię czynu — rzeźbi się charakter. Nie odmawiać sobie niczego, błyszczeć pozorem i wygodnie stąpać w ślady drugich — potrafią tysiące — odepchnąć pokusy, hypokryzyą gardzić i iść samodzielnie — na to zdobędzie się niewielu.

Koniecznym warunkiem charakteru jest silna na wewnętrznem przekonaniu oparta wola; jest ona dla niego tem, czem n. p. zasady gramatyki dla języka. Bez niej on nie może się objawić, jest ona jego podstawą, jego wykładnikiem. Drugą częścią składową jest wiara we własne siły i wytrwałość w dążeniu do wytkniętego celu. Te trzy czynniki moralne razem stanowią jego istotę i potęgę, ale każdy z nich osobno trzeba kształcić i rozwijać.

Wyrobienie silnej woli, woli, która nie zna co to przeszkody, co nie przychylne warunki, a widzi tylko konieczność osiągnięcia celu i siłę swojej energii — zależy już tylko od siebie samego. A zaczynać tu trzeba od drobnych początków. Drobnostki zwłaszcza codziennego życia nastręczają wiele sposobności do kształcenia woli. Znałem człowieka, który wolę swoją tak dalece uczynił decydującym czynnikiem w życiu, że o której godzinie, wieczorem kładąc się spać, postanowił się obudzić, o tej punktualnie rano wstawał. Podobny przykład może się wydać śmieszny, ale w gruncie rzeczy jest tutaj równie wielka siła woli, jak w niejednym wypadku, gdzie nadzwyczajne okoliczności podniecają uśpioną wolę człowieka do czynów heroicznych w ważnych chwilach życia. Taki bowiem człowiek, który dokonywa jakiegoś wielkiego czynu, wymagającego znacznego wysiłku woli, znajduje się, zwykle w położeniu wyjątkowem, stoi wobec jakiejś alternatywy, która bardzo często streszcza się w frazesie *to be or not to be*[1]). To też wola jest tu niejako pchana nieubłaganą koniecznością do czynu. Człowiek taki widzi przed sobą straszne następstwa, groźne komplikacye, jeżeli nie zdobędzie się na wysiłek woli, widzi niesławę, upadek moralny — zgubę swoją i t. p. i to właśnie stanowi naturalną, silną podnietę. Inaczej jednak jest tam, gdzie pospolite, błahe szczegóły codziennego życia podporządkowane są dyrektywie woli. Że ktoś powstrzyma się od palenia tytoniu, które stało się jego drugą naturą, albo odmówi sobie innej przyjemności, czy też o tej lub innej godzinie się obudzi — to nie będzie miało wpływu na losy jego życia lub drugich, nie wyjdzie nawet po za obręb jego świadomości, a jednak tkwi w tem dowód tak samo silnej woli, jak tam, gdzie się waży spokój, szczęście, albo życie ludzkie i może uchodzić za pewnik psychologiczny, że człowiek, który w takich drobnostkach okaże wolę, temu jej także nie zabraknie w rzeczach ważniejszych. Dlatego w kształceniu woli należy zaczynać od najmniejszego, ograniczyć się zrazu na szczupłem terytoryum własnych przyjemności, nawyczek i potrzeb, a z pewnością jeżeli w tej dziedzinie wola nasza próbę wytrzyma, nie zawiedzie także i w rzeczach większych.

Jak konieczną cechą charakteru jest silna wola, tak pierwszym atrybutem tejże jest wiara w siebie, a w dalszym ciągu wytrwałość. Wola pozbawiona wiary we własne siły jest hazardem. Jest to raczej chwilowe, często gwałtowne pobudzenie energii, słabnące razem z dokonaniem jakiegoś czynu, chociażby czyn ten był dopiero pierwszym krokiem do osiągnięcia celu. Człowiek z taką wolą zdolny jest nawet do największego bohaterstwa, ale chwila jest u niego decydująca. Konkretnych, pozytywnych skutków taki człowiek nie osiągnie nigdy, zniknie jak meteor błyszczący wspaniałym ogniem — bez śladu.

Wytrwałość nakoniec spaja ze sobą wolę i wiarę we własne siły, tworząc podstawę właściwą charakteru.

Zbawienny wpływ na kształcenie się charakteru wywiera też poznanie i zbliżenie się do natury. Cała przyroda z nieskończonym szeregiem swoich objawów i form, jej prawa twarde i niezmienne, którym podlega cały świat organizmów żyjących i ciał martwych, wieczny rozwój i ustawiczne prze-

[1]) Być albo nie być (Szekspir, Hamlet).

obrażanie się żywiołów w jej łonie — przedstawia nam wspaniały widok i porywający przykład ciągłego dążenia do doskonałości, do postępu. To też widzimy, że ludzie, którzy się wychowali pod jej bezpośrednim wpływem, niejako wzrastali na jej łonie, ludzie, którzy ujrzeli światło pod niską strzechą wieśniaczą, odznaczają się silnie ugruntowanemi zasadami, wolni od chorób wieku — braku woli, czy rozstroju nerwów. Dla tego zbliżenie się do tej natury i do tych, którzy są jej wychowankami przynieść może bardzo wiele korzyści, a zbadanie jej wielkich tajemnic, obdaruje nas tem, czego nie jednemu z nas dzisiaj tak bardzo brakuje: jasną, przewodnią gwiazdą na drodze życia. Wyrabiajmy w sobie charaktery z większą usilnością, a przynajmniej z taką samą jak umysły, a stworzymy taką potęgę, że o nią, jak o granitową skałę rozbiją się w puch Sybiry i bagnety, germanizacye i russyfikacye. *S. O.*

Mickiewicz i Słowacki

wodług Krasińskiego*).

„Słowackiego rozumieć tylko można w logicznem następstwie po Mickiewiczu, tem ogromnem *fiat lux* literatury polskiej, a zatem zaczniemy od początku.

Przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezyi w Polsce. Leżały tylko nagromadzone materyały, mające się do niej w takim stosunku, w jakim kroniki, biografie i pamiętniki mają się do prawdziwej historyi“.

„Czyn, którym się nasz duch objawił po rozebraniu się z ciała politycznego, zowie się Mickiewiczem. On pierwszy oblekł w kształt organiczny polską ideę piękności: potrzeba mu było na to tego, co jest treścią i zasadą w każdem tworzeniu, potrzeba mu było olbrzymiej, wewnętrznej, rodzimej siły, czyli energii. Tylko siłą skupiań, siłą dośrodkową, można zamienić niewidome na widome to co jest, ale bez ciała, zmusić do objawienia się w ciało, a tem samem do obleczenia się. Stąd to wyobrażenia w średnich wiekach o potędze nadziemskiej czarnoksiężników, tych praktycznych poetów, których zaklęcie kuło duchy niewidzialne w kajdany kształtów widomych. Otóż podobnie Mickiewicz zaklął polskiego ducha poezyi i jak Tytan skupił go objęciem ramion, ścisnął go w żelazny pierścień natchnienia i duch stał się dotykalną pięknością. Wszystko, co wprzódy rozlane i rozbite pływało niesfornie lub opadało prochem, zeszło się w kształt sforny i rozumny. Stanął grunt poezyi naszej i epoka wewnętrzna tego intellektualnego planety wychyliła się na jaw. Czem Alp ogromy, czem piramidy pustyni, czem wszystko, co zasadnicze i wzniosłe a zarazem nieporuszone i wieczne, tem Mickiewicza dzieła. W nich nadewszystko przemaga siła dośrodkowa, siła wcielań i twierdzeń, wola i czucie i wiara, one są gruntownem jądrem literatury naszej.

Lecz świat nie na jednej tylko sile stoi, nie jednem tylko wcieleniem się żyje. Gdyby poprzestał na tym jednym wyłącznie kierunku, stał by się nierozdzielnością, siły odśrodkowej nie miałby także w sobie“.

„W każdej żywej wielkiej całości, te dwa kierunki razem istnieć muszą, ich harmonia zowie się życiem, ich sprzeczności są tylko złudzeniem. Mogą wprawdzie czasem w pewnem miejscu przybrać pozór walki, ale to zawsze doczesnem, nie wiecznem jest zjawiskiem“.

Zdaje się nam, jakobyśmy czuli, gdy czytamy dzieła Słowackiego, że w nich objawiła się ta druga konieczna odśrodkowa siła: siła odwcielań i zaprzeczań, a której pęd poczęty z dołu a bijący ku górze, stara się wyrazić westchnienia wszystkich ciał natury i rwania się wszystkich myśli ku niewidzialnemu światu nieskończoności!

Zaprawdę, w kierunku tej siły coś panteistycznego przebija: onaby chciała, gdyby przemódz mogła i jedyną stać się panią świata, wszystko we wszystkiem stopić, samaby się rozwiała własnemi skrzydłami, wszelkie stworzenie zatraciłaby w Bogu jak w otchłani“.

„Panteistyczny kierunek jest wszędzie, ale nie sam jeden. Wtem błąd, mieć go za jedyną prawdę; w tem prawda, mieć go za prawdy połowę. W duchu Mickiewicza przewaga na stronę indywidualizmu, osobnika, wiary uosobiszczonej, energii, skupienia, środka, co w się wszystkie zebrał promienie okręgu. W duchu Juliusza zupełnie przeciwnie. Przewaga na stronę nie podmiotu, ale przedmiotu, nie indywiduum, ale świata, nie jedności, ale

---

*) Wyjątki z ustępu p. t. „O krytyce w ogólności“ i z listu do Romana Załuskiego o Juliuszu Słowackim.

rozmaitości. Stąd Mickiewicza postacie są rżnięte w opoce z granitu, olbrzymie są, architektoniczne, wzniosłe, Juliusza zaś wdzięku niesłychanego pełne, uderzające wonią, błyskające, świecące jak tęcze, wieczną tęsknotę zostawiające w duszy, ale przy tej tęsknocie pewność, że były, przesunęły się i gdzieś odleciały i nigdy nie wrócą. on im przypiął skrzydła, posłał je za gwiazdy stałe, za konstellacyę Oriona, poza drogi mlecznych pyłów...“

„Czem w naturze płynność, czem tęczy około wodospadów umizgi; czem chmury co chwila zmienne, płynące na to, aby przepaść gdzieś w niebie; czem szmery rozmarzonych strumieni a szum daleki morza, czem owe melodye śpiewu, które gasną, oddalając się coraz wyżej, coraz szerzej, jakby życie, z piersi ludzkich uwolnione, już w niebo zstępowało; tem się nam marzy, że jest poezya Słowackiego w literaturze naszej. Każda jej cząsteczka misternej, filigranowej roboty, jak drobny kwiateczek, jej ogół zaś, właśnie dlatego, że jest odwcielan formą, przedstawia ciągle pojedynczych cząstek stawianie i znoszenie, tworzenie i niszczenie, utrzymuje się raczej ruchem ciągłym niż postacią, zupełnie tak jak muzyka. Stąd wypływa ów ciągły pozór ironii i kaprysu, stąd pęd niewstrzymany, ale lekki, przejrzysty, na wskroś idealny. Któż n. p. czytając „Szwajcaryę“ i „Anhellego“, nie dozna mistycznej tęsknoty? Komuż te dwa arcydzieła wewnętrznej melodyi ducha nie zostawią po sobie jakby uczucia, że wszystko przeminęło, że co światłem było, już nie jaśnieje, co różą, już się nie czerwieni, co łzą, już nie płynie, co chwałą, już nie połyska tutaj na ziemi, ale objawionem jest głębiom ducha i znać, że te wszystkie groby i kwiaty i lutnie i szable, popłynęły wyżej, ot! ot! tam gdzieś ulecialy, roztopiły się, wsiąkły tam, dokąd ostatecznie każdej harfy rwą się dźwięki i dokąd śnią każdej trumny marzenia“,

„Potęga Słowackiego najbardziej w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki: nim jak przędzą i z niego, jak z materyału snuje pasmo swoje całe poeta. Styl Słowackiego to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na wszystkie strony. Stylem tym bije ciągle jakby falami o granicę wszechrzeczy, ciągle je podmywa i stara się odsunąć. Nikt jeszcze tak smukle, gibko, fantastycznie, po polsku nie pisał. Pokora, z którą wiersz staje się jego niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo; na króla nam wygląda, kiedy zacznie mowie polskiej rozkazywać. Biegną ku niemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on despotycznym kaprysem przesyła, gdzie chce, każe im płynąć a płyną, wić się powoli a pełzną, wzlecieć a wzlatują i lecą jak orły“.

„*W czarnoksięstwie stylu* Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym mało kto“.

„Zarzucają Słowackiemu najbardziej brak całości, mówią, że ducha swego nie ściska dość w karby, że mu żelaznych i rozpoznalnych nie stawia granic. Ależ właśnie to wypada z tego, czem on jest, z jego natury; on nie rzeźbiarzem, ale muzykiem się urodził, a w tej jego muzyce płyną farby Coreggia, farby Rafaela, niesione nutami Beethowena.

Jeśli wam Michała Anioła potrzeba, czemuż go żądacie? czemuż go wyglądacie wy, wśród których on się już objawił? Nie patrzcie naprzód, nie zazierajcie w przyszłość, ale owszem odwróćcie się ku dniom, które ubiegły, a wasz Michał Anioł ukaże się wam: jedna z rąk jego spoczywa na posągu Litawora, a druga zawieszona w górze nad ciągiem postaci umarłych, narodowych, przekutych już także w posągi wiecznego wspomnienia. Tym uwiecznionym na imię „Pan Tadeusz“, imię drobne samo z siebie, ale wyrażające dla nas prawdziwą epopeję. Na równie ogromną żaden z nowożytnych narodów dotąd się nie zdobył. Genialność Homera i dowcip Cerwanta w niej stopiły się razem“.

„Mickiewicz i Słowacki są dwoma mistrzami ale dwóch sfer innych, nibyto przeciwnych na pierwszy rzut oka, tymczasem zupełnie z sobą harmonijnych a dążących do zlania się razem; a gdy się zleją, wtedy będzie mistrz trzeci“.

Allegorya.*)

Trzema żelaznymi łańcuchami do skały przykuty szamotał się biedny orzeł w strasznych męczarniach. Zimny kroplisty pot zrosił jego lśniące pióra a nogi skute kajdanami, oblewała krew. Czerwone blaski zachodzącego słońca złowrogo zaglądały. Nareszcie

---

*) ze sfer studenckich.

zmęczony niewolnik przestał się rwać na łańcuchu, siły go opadły i zasnął. Krwawy jednak horyzont zachodni utkwił mu w pamięci mimo snu, przywodząc mu na myśl allegorycznie cały szereg strasznych chwil, jakie przebył. A cierpiał teraz więcej w tej boleści urojonej, niż w rzeczywistej, bo nie tylko czuł, jak przedtem, że go boli, ale prócz tego widział jasno, jakby mu jakaś błyskawica nagle rozświetliła wszystko dokoła, poznał w jednej chwili straszną grozę swego położenia i to mu sprawiało jeszcze większe, straszniejsze cierpienia. Widział teraz wyraźnie, że wielu z tych, których on skrzydłami swemi tulił i osłaniał, porzuciło go, tę gwiazdę przewodnią, wyrzekając się go tchórzliwie. Inni, o grozo! umawiali się z obcymi, dobijając targu o niego, by go sprzedać po judaszowsku. Zadrżał, zerwał się ze snu, oczy mu zaszły krwią a z ust wyrwał się stłumiony jęk: „Przeklęci straceńcy". Znów zasnął. Zobaczył dalej czarnych apostołów ciemnoty, dla których ona była źródłem piekielnego zysku. Niskie ich czoła, starannie ukryte, wypełniał napis: „Obłuda". Tworzyli straszliwą zwartą potegę, samemi nawet sumieniami ludzkiemi władnącą. Byli tem okropniejsi i wstrętniejsi, że do tak podłych, nikczemnych celów używali najwznioślejszych idei, przekręciwszy je i nakręciwszy zręcznie do swego piekielnego systemu. Widział następnie całą hałastrę, która w kieliszku i głupich uciechach światowych znajdowała szczęście; wielu z nich wprowadzało zagraniczne mody, mówiło obcym językiem, śmiejąc się przytem jeszcze zwać ludźmi postępu. Inni, obrani z rozumu, choć nie pozbawieni zupełnie uczciwości, widząc, że zguba nadchodzi, myśleli, że przyczyną tego jest upadek dawnych obrządków, zwyczajów, i t. p. Była jednak i spora garść pragnących szczerze sercem i duchem podźwignąć siebie i innych z upadku, lecz siły ich były za słabe. Inni nareszcie (a tych było najwięcej) żyli w cichości, dotychczas wprawdzie nie tknięci prawie ogólną zarazą zepsucia, lecz nieświadomi nie tylko spraw, których się losy w tej chwili rozgrywały, ale nawet nie wiedzący o własnem człowieczeństwie, bez poczucia własnej godności, upośledzeni, zbydlęceni wiekową niewolą. — Zaczęły się czasy strasznych przewrotów, obcych intryg, ostatnich wysiłków walki dobrego ze złem, — wszystko się burzyło, jak fale na pienistem morzu; przed końcem zajaśniała wprawdzie jedna piękna promienna chwila, lecz był to ostatni błysk gasnącego płomienia; poczem wszystko runęło i nastala ponura grobowa cisza... Była to jednak znów zapowiedź burzy.

A oto stanął w zwiastujących ją błyskawicach wielki mąż z promieniejącą twarzą; biła z niej „wolność", której ponęta kazała mu walczyć o siebie na drugim krańcu świata; teraz na pierwszy w Ojczyźnie odgłos walki o nią, dźwięki jej pieśni usłyszał z za oceanu i śpieszy z niecierpliwością do kraju, radby od ptaków lotu ich pożyczyć. Wpadł jak strumień druzgocący niewzruszone niby głazy, jak promień wiosennego słońca, pod którego ciepłem topniały zlodowaciałe serca, by nowem uderzyć życiem. Potęgą idei, gorącem serca swego porwał wielu. I stał się cud: śpiący olbrzym, deptany, poniewierany lud obudził się i z pieśnią bojową na ustach poszedł nastawiać piersi swe w obronie ziemi, która macochą, nie matką dotychczas mu była... Zbudził się biedny orzeł-niewolnik, a ujrzawszy ciemność w koło siebie przeląkł się jej i zapłakał gorzko; wrażenie bowiem snu pozostało mu w pamięci. Ale beznadziejność, zwątpienie i bezsilność, które go ściskały gorzej od stalowych kajdan, ustąpiły w zupełności; a na to miejsce powstała gorąca wiara w przyszłość, w sercu jego zerwał się wściekły fanatyzm idei wolności, druzgocący wszystkie przeszkody, sam niezwyciężony, bo zoczył coś potężnego czego dotychczas nie znał, bo wielki mąż wskazał mu — lud. *J. R.*

W sprawie samokształcenia.

I.

Jest chwila w życiu człowieka, kiedy się doznaje wyraźnej tęsknoty za jasno wytkniętym celem życia, za rozszerzeniem widnokręgu myśli, budzi się pragnienie ogarnięcia myślą całokształtu życia ludzkiego i wyznaczenia własnego w niem miejsca. Młodość ma takie chwile.

Szkoła w żaden sposób zadowolnić wówczas nie może. Nie może tego uczynić i wszechnica. Wszechnica dzisiejsza nazywa się tak właściwie dla tego, że w obrębie jednego

gmachu wykładają się tam wszystkie nauki. Pojedyńczy akademik wychodzi stamtąd, jako specyalista, wykształcony w jednym kierunku, poza tem pozostaje obskurantem i nieukiem. Można spotkać lekarzy, nie odróżniających „sycyologa“ od „socyalisty“, — prawników, którzy anatomii uczą się od swych kucharek, gdy trzeba kaczkę lub prosię rozebrać na półmisku, przyrodników przekonanych, że wiedza przyrodnicza będzie punktem oparcia dla archimedesowskiej dźwigni, mającej wywrócić stary, przeżyty ustrój społeczny.

Tylko samokształcenie może zapobiedz takiej jednostronności wykształcenia. Myśl ta doczekała się szerokiego zastosowania przez młodzież wszystkich cywilizowanych narodów. Wszędzie powstały różnorodne instytucye i wydawnictwa, ułatwiające sprawę samokształcenia.

Z doświadczenia osobistego wiemy, jak pożądanym jest dla tych, co drogą samopomocy chcą się wykształcić, aby od początku samego mogli oryentować się w masie najrozmaitszych nauk, w jakie ujętą jest cała ludzka wiedza.

Powodowani tem, zaczynamy udzielanie informacyi w sprawie samokształcenia od podania układu, wiedzy ludzkiej, nie mającego pretensyi do ściśle naukowej klasyfikacyi, w rodzaju Comte'owskiej lub Spencerowskiej, ale odpowiadającego praktycznym wymaganiom samokształcenia.

I. Matematyka i logika.

II. Nauki przyrodnicze.		**III. Nauki humanitarne.**	
Fizyka	Chemia	*A)* Antropologia	*B)* Dzieje polityczne
Przyroda nieorganiczna: Astronomia, Kosmografia, Meteorologia, Geologia (Petrografia, Paleografia itp.), Geografia, Mineralogia itp.	Przyroda organiczna: Biologia (Zoologia, Botanika), Anatomia, Fizyologia	Etnologia i etnografia, Językoznawstwo, Psychologia; *C)* Socyologia.	Historya rozwoju: religii, prawa, moralności, życia gospodarczego, pojęcia piękna.
Nauki stosowane: żeglarstwo, agronomia — techniczne nauki: technologia, budownictwo, medycyna, hygiena, miernictwo itp.		*Nauki stosowane:* pedagogia, polityka, polityka ekonomiczna, prawodawstwo itp.	

IV. Historya filozofii.

Na pierwszem miejscu spotykamy *logikę* i *matematykę*. Naukom tym w naszym wypadku przeznaczyć można rolę środków, narzędzi: usposobią one mianowicie umysł do ścisłego myślenia, do krytycznej oceny teoryi naukowych, jak również do lepszego oryentowania się w świecie rzeczywistych zjawisk. Szczególniej na uwagę zasługuje logika, której wykład w szkołach średnich zupełnie nie odpowiada znaczeniu i ważności tego przedmiotu.

Dzielimy, dalej nauki na przyrodnicze i humanitarne. W pierwszych, prócz całej otaczającej nas przyrody, może być miejsce i dla człowieka np. w geografii lub w biologii (nauka o życiu); drugich przedmiotem jest tylko człowiek i wytwory ducha ludzkiego.

Na czele nauk przyrodniczych spotykamy *fizykę* i *chemię*, gdyż zawierają one zasady, potrzebne do zrozumienia wszystkich zjawisk w przyrodzie. Np. fizyczne prawo przesiąkania płynów (osmoza) tłómaczy nam sprawę odżywiania organizmów roślinnych i zwierzęcych; prawa dyfuzyi gazów wyjaśniają jedną z główniejszych faz wymiany materyi w or-

ganizmach: wymianę tlenu i bezwodnika węgla w płucach; bez chemii nic moglibyśmy nic wiedzieć o składzie ciał niebieskich i skorupy ziemskiej jak również o tem, skąd się bierze ciepło w ciele ludzkiem i t. d. i t. d.

Poza fizyką i chemią nauki przyrodnicze obejmują przyrodę nieorganiczną i organiczną. Przyroda martwa zamyka się w obrębie nauk o ciałach i zjawiskach we wszechświecie, w *astronomii*, *kosmografii*; — nauk o zjawiskach w atmosferze — t. j. w *meteorologii*, wreszcie o samym globie ziemskim — w *geologii*, *geografii*, *mineralogii* i wielu innych.

O materyi organicznej, żywej traktuje jedna wielka nauka o życiu — *biologia*. Bada ona życie, niezależnie od tego, czy przejawia się ono w formie komórki zwierzęcej, czy roślinnej. Pomoniczemi więc są dla niej *zoologia*, jako nauka o życiu zwierzęcem i *botanika* — o życiu roślin. I zoologia i botanika mają trzy części: naukę o budowie organizmów — *anatomię* i naukę o czynnościach, jakie się w żywych organizmach odbywają — *fizyologię*, wreszcie naukę o społecznem życiu organizmów — *etologię*.

Przechodząc do grupy nauk, traktujących wyłącznie o człowieku i wytworach jego ducha, musimy nasamprzód uwzględnić te (A), które nam człowieka, jak twór w przyrodzie lepiej poznać dadzą. *Psychologia* więc uczy nas o zjawiskach duchowych w życiu człowieka. *Antropologia*, jako nauka o typach rasowych, *etnografia* — opisowa nauka o ludach i *językoznawstwo porównawcze* — uzupełniają pojęcie o człowieku, podając wiadomości o grupach jednostek ludzkich, o ludzkości całej.

Dalej, poznać musimy te nauki, których celem jest wykrycie praw rządzących zjawiskami życia społecznego ludzi (B). Spotykamy tu przeto: *dzieje polityczne*, *historyę rozwoju religii*, *prawa*, *moralności i życia gospodarczego*, wreszcie *pojęcia piękna*. O ile te nauki nie traktują swego przedmiotu ze stanowiska rozwoju historycznego, lecz mają na oku tylko bieżącą chwilę, wówczas zamieniają się na naukę prawa publicznego, teologię, ekonomię społeczną, estetykę i t. d. — Kopułę wiedzy humanitarnej stanowi *socyologia* (C), jako nauka o społeczeństwie, opierająca się na wynikach powyżej wymienionych humanitarnych nauk, jakoteż biologii.

Historyę filozofii, zamieszczoną na końcu, można uwzględnić również na początku. Przedmiot ten bowiem przedstawia właśnie szereg światopoglądów, jakie wytworzyły rozmaite umysły ludzkie w ciągu długich wieków rozwoju ludzkiej myśli. A przecież najogólniejszy cel samokształcenia polega właśnie na wytworzeniu sobie własnego na świat poglądu. Systematy filozoficzne, jako urzeczywistnienie tego celu, mogą więc niejako służyć za wytyczną przy zdobywaniu wiedzy. Poznanie takich systematów ustrzeże od pospolitej omyłki, popełnianej przy kształceniu się: mianowicie od bezcelowego zbierania luźnych wiadomości. Pamiętajmy bowiem, że zadaniem prawdziwego samokształcenia jest zbudowanie silnych podwalin życiowych, nadanie jednolitego kierunku dążeniom i przekonaniom. *J. B.*

P. hr. Tarnowski w walce z historyą porozbiorową Polski.

(*Nasze dzieje w ostatnich stu latach. Wyd. drugie uzupełnione. W Krakowie 1895*).

Gdyby p. hr. Tarnowski zadawalał się pisaniem „wytwornych“ krytyk literackich, śledzeniem „prób rozstroju“ i „złotoustem“ gromieniem wszelakich radykałów, to „Promień“ mógłby p. hrabiego zostawić w spokoju. Niechby tam sobie inni kruszyli z nim kopije! Jednakże p. hr. Tarnowski uważa za niezbędne, w wolnych od innych zajęć chwilach, pisywać książki „popularne“, przeznaczone dla szerokiego ogółu, głównie — dla „prostaczków“ i młodzieży szkolnej. Z tego rodzaju pismami należy się nam rozprawiać, zwłaszcza, jeśli one wychodzą w drugiem wydaniu, a więc są poczytne. Obowiązkiem naszym jest poddawać analizie chemicznej tę sprawę, którą stańczycy przyrządzają dla użytku masowego. Odgrywamy w ten sposob trochę nieprzyjemną, lecz konieczną rolę policyi sanitarnej.

W „Promieniu“ dokonaliśmy już roboty dezynfekcyjnej z powodu „Wypisów“, których współautorem jest hr. Tarnowski. Teraz przyszła kolej na książkę, w której p. prezes Akademii umiejętności znęca się nad „naszemi dziejami w ostatnich stu latach“. „Promień“, wzorem słonecznego boga Fojbosa-

Apollina, powinien zedrzeć skórę z nowego Marsyasza.

Przedewszystkiem wyznać musimy, że jesteśmy w kłopocie: p. hr. Tarnowski, kiedy zniży się do napisania książki popularnej, nie szczędzi materyału dla krytyka. Prawdziwy ambaras de richesse: na każdej prawie stronicy jest coś, za co wartoby wychłostać. Nie mając ani czasu, ani miejsca dla wykonania operacyi tej w całej rozciągłości, ograniczymy się najważniejszymi punktami.

Naprzód zasługują na wzmiankę styl i język „wytwornego stylisty“. Hr. Tarnowski chce pisać popularnie, a że umiejętnością tą się nie odznacza, więc nieraz sprawia komiczne wrażenie. Tak np. na str. 55 czytamy: „... za jego (Mickiewicza) przykładem zaczęło pisać wielu innych, nie tak jak on, ale bardzo pięknie“. Na str. 144: „Mieszkał (Wielopolski) od roku 1831 u siebie na wsi w Chrobrzu, *ale* w głowie rozważał głęboko wszystkie sprawy krajowe“. P. Tarnowski sądzi widocznie, że mieszkanie na wsi i „rozważanie w głowie“ są to rzeczy, godne przeciwstawienia. Proszę jeszcze czytelników, by głęboko „rozważyli w głowie“ wyrażenia tego rodzaju, jak: „... wpływ tego domowego dozoru będzie o to jedno dbał“ (str. 129): „wszystkich pomyłek, jakie się popełniły, ani wszystkich korzyści, jakie się zdobyły“ (str. 141; ciekawym, jak pomyłka może siebie samą popełnić, a korzyść samą siebie zdobyć!); (Rosya) „udaje się przed światem i przed tymi ludami samymi za ich opiekunkę i przyjaciółkę“ (str. 183, niech się pan Tarnowski *nie udaje za* dobrego stylistę).

Przykłady te, sądzę, wystarczają, a możnaby przytoczyć daleko więcej. Wobec tego, jeżeli hr. Tarnowski w książce swej się cieszy, że naród polski nie zatracił swego języka, to nam wypada wyrazić żal, że p. prezes Akademii umiejętności mowę naszą tak zachwaszcza, tak niedbale pisze po polsku.

Treść książki p. hr. Tarnowskiego gorsza jest jeszcze od języka. Pominiemy jego filozofię historyi — przepraszam za zestawienie wyrazu „filozofia“ z nazwiskiem hr. Tarnowskiego. „Filozofia“ ta polega na rozróżnianiu „poglądów dobrych“ i „złych“, ludzi szlachetnych i czarnych charakterów — przyczem naturalnie wszyscy biskupi, hrabiowie, książęta są niemal aniołami (starannie odfotografowanymi), a wszelacy radykali traktowani jako kandydaci — w najlepszym razie — do czyśca. „Filozofia“ to godna kronikarza średniowiecznego — ale mniejsza o to, wybaczamy ją p. hrabiemu. Nieboszczyk Stańczyk nie mógł być tęgim historyozofem; nie żądajmy nowożytnych poglądów od stańczyków XIX. wieku.

Czego wszakże możemy wymagać, nawet od hr. Tarnowskiego, to — poszanowania faktów historycznych, no i zachowania przynajmniej elementarnych prawideł logiki. Zobaczmy, czy książka p. hrabiego skromnym tym wymaganiom zadość czyni.

Przyjrzyjmy się naprzód kilku wycieczkom autora do obcych krajów. Że p. hrabia nie lubi Wielkiej Rewolucyi francuskiej, temu się nie dziwimy. Że przedstawia rewolucyonistów jako bandę złoczyńców, którzy nie wiadomo po co i dlaczego popełniali różne bezeceństwa, — i to mu wybaczamy. Ale dlaczego fałszuje historyę, mówiąc np. że ścięcie Robespiera było „ostatnią egzekucyą i końcem tej strasznej rewolucyi?“ Czyż nie wie istotnie, że ci, którzy przyszli do władzy po upadku Robespiera, bynajmniej nie szczędzili krwawej pracy gilotyny — tylko, że teraz stosowano ją względem energiczniejszych rewolucyonistów? Na str. 180 hr. Tarnowski mówi o Komunie paryskiej z r. 1871: wichrzyciele „nazwali się *kommuną* (czy od *kommuny* albo gminy miasta Paryża, czy od *kommunizmu*, zniesienia własności)“. Tego rodzaju wątpliwość godna jest hr. Tarnowskiego, który widocznie nie przeczytał ani jednej historyi Komuny: gdyby to uczynił, to by chyba nie wątpił, że wyraz „Komuna“ nie ma nic wspólnego z „komunizmem“. Za to p. hrabia pod względem teologicznym jest „tęgo kuty“, bo aż dwie stronice (176 i 177-ą) poświęca obronie dogmatu nieomylności papieża. Ktoś naiwny mógłby wprawdzie zapytać, co wspólnego ma ten wywód teologiczny z porozbiorową historyą Polski; ale tem dowiódłby tylko, że jest „nieprzyjacielem Kościoła“. Więc też, nieszczęsny czytelniku „Naszych dziejów“, nie pytaj i o to, czemu p. hrabia ozdobił karty swej książki podobiznami mnóstwa biskupów, księży, dwóch Papieży i Jana Koźmiana, a nie raczył uwiecznić Juliusza Słowackiego, ani też *żadnego* z bohaterów powstania styczniowego. Takie pytanie dowodziłoby braku uczuć religijnych. Ze stanowiska zaś patryotycznego, p. hrabia chyba

dość uczynił dla pamięci działaczy 63 r., zamieszczając podobiznę — Aleksandra Wielopolskiego.

Pozwolimy sobie przytoczyć jeden jeszcze przykład, świadczący dowodnie, jak sumiennie p. hrabia przedstawia stosunki obcokrajowe. Mowa o rewolucyonistach rosyjskich. „Spiskowali między sobą — powiada p. hrabia — czasem próbowali wybuchnąć (podziwiajcie styl, — przyp. zecera): potem ginęli na szubienicy albo w sybirskich kopalniach. Za srogich rządów cesarza Mikołaja nie śmieli się ani ruszyć, ani pisnąć (wyrażenie, godne świetnego stylisty); ale za Aleksandra II., miększego, łagodniejszego, podnieśli głowę“ (dziwna doprawdy „łagodność“, która się zaznacza szubienicami i katorgą, przyp. zecera)... „Od tego słowa *nic*, po łacinie *nihil*, nazwali się ci rosyjscy rewolucyoniści *nihilistami*“. To nieprawda: nihilistami nazwał ich powieściopisarz Turgeniew, przeciwnik rewolucyonistów: oni sami nigdy się tak nie mianowali. Ale większy jeszcze fałsz zawiera się w twierdzeniu, że rewolucyoniści „dawno, bo zaraz po roku 1860, zaczęli rozniecać pożary po różnych miastach rosyjskich, nawet w samym Petersburgu“. P. hr. Tarnowski powtarza tu oszczerstwo rządu rosyjskiego i jego gadzinowców.

Ale nie żądajmy od p. hr. sprawiedliwej oceny stosunków obcych, skoro on „*nasze* dzieje“ przedstawia nad wyraz opacznie. P. hrabia utrzymuje, że naród polski „nigdy dotąd *cały*“ uciskowi nie podlegał: bo „kiedy na jednem miejscu“ cierpi, na drugiem „ma sposobność do życia, a zarazem do pokazania, czy żyć uczciwie i roztropnie umie“ (str. 140). Czarno na białem: naród polski „nigdy dotąd cały“ uciskowi nie podlegał. O Polsce z czasów Królestwa kongresowego hr. Tarnowski pisze, że „nie doświadczała takiego ucisku, którego by znieść nie była mogła“ (str. 62). P. hrabia pobierał widocznie nauki u historyków rosyjskich, którzy tak samo twierdzą: Polska otrzymała od „wspaniałomyślnego“ Aleksandra konstytucyę, ale źle z niej skorzystała.

Logika płata p. hr. Tarnowskiemu dziwne figle: podczas gdy np. na str. 62 twierdzi, że powstanie 30 r. udać się nie mogło, bo Polska była słabsza od Rosyi, a nikt Polakom nie przyszedł z pomocą, to na str. 80 pisze: „Z dzielnym człowiekiem na czele, z szybkiem działaniem wojennem, powstanie mogło od początku iść lepiej, a po paru bitwach pomyślnych mogło było wzmocnić się tak, że w końcu byłoby wygrało“.

Mniejsza wszakże o logikę: niechby przynajmniej p. hrabia nie przekręcał — wyrażamy się łagodnie — faktów. Co za żądanie — w takim razie nie mielibyśmy „Naszych dziejów“! Na str. 94 czytamy np.: „Naczelnicy (emigracyi demokratycznej) siedzieli bezpiecznie w Paryżu czy w Londynie: do kraju przedzierali się ludzie, których umysł był niedojrzały albo słaby, ale odwaga wielka, zapał wielki i poświęcenie wielkie“. A więc Zawisza, Konarski, Wiśniowski i tylu, tylu innych to nie byli naczelnicy emigracyi, to byli ludzie o umyśle słabym albo niedojrzałym. Tyle w tem tylko prawdy, że istotnie nie dojrzeli — do stańczykostwa.

Rzecz jasna, że i powstańcy z r. 63 ciężko zawinili: z działalności bowiem Wielopolskiego „wyniknąć mogła zgoda między krajem polskim a rządem rosyjskim: a im właśnie o to chodziło, żeby nie do zgody przyszło, ale do nieprzyjaźni i zerwania“! Słyszycie, czytelnicy: dopiero z winy powstańców przyszło do „nieprzyjaźni“ między „krajem polskim a rządem rosyjskim“! Powstańcy zamącili „zgodę“ między „wilkiem a jagnięciem“!

O rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego p. hrabia pisze: „Wielopolski, jeżeli nawet miał słuszność, to postąpił niezręcznie“ (str. 114). Tylko niezręcznie! A o smutnej pamięci brance wojskowej Wielopolskiego czytamy tylko wzmiankę — ani słowa krytyki, nie mówię już — oburzenia.

Na str. 116 czytamy: „Nie będziemy tu opowiadali samego powstania roku 1863“. Dlaczego? „Nie będziemy opowiadali“ nawet o manifeście powstańczym, uwłaszczającym chłopów? Prawda — nie warto. Trzeba oszczędzić drogiego miejsca. Z drogi, powstańcy — oto idzie liczny poczet nie takiej hołoty, jak wy, ale dostojników różnych! Trzeba okazać bizantynizm w całej pełni — i im bliżej końca, tem skwapliwiej rozwijać „zdrowe poglądy“.

Dość tego — wstręt wytrąca nam pióro z ręki...

Jedno tylko na zakończenie: jeśli chcecie, czytelnicy, zapoznać się istotnie z „naszemi dziejami w ostatnich stu latach“, nie

czytajcie utworu p. hrabiego, lecz książkę p. t. Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość. Przez X. Y. Lwów 1894 (str. 452, z mnóstwem ilustracyj). *R.*

Teraźniejsze obowiązki
i zadania młodzieży.

W tygodniku francuskim „Revue Bleu" ogłosił F. Buisson odezwę do młodzieży francuskiej pod powyższym tytułem. Głos ten jest jednym dowodem więcej, że we Francyi nie brak szlachetniejszych jednostek, widzących złe i dążących do poprawy stosunków.

Ponieważ w tej odezwie jest bardzo wiele rzeczy, które i u nas są na czasie, umieszczamy ją w skróceniu, opuszczając wszystko, odnoszące się specyalnie do stosunków francuskich.

Autor opowiada, jakie ideały mieli w swej młodości jego rówieśnicy, a więc *wolną republikę, rząd parlamentarny* i t. p., widzi, że te ideały urzeczywistnione nie mają tak dobroczynnych następstw, jak się spodziewano a nawet często są przyczyną złego.

Zastanawia się nad przyczynami tego stanu i nad sposobami zaradzenia złemu.

„Dwa warunki są potrzebne do postawienia na nogi rzeczypospolitej, jeden łatwy: dać jej konstytucyę republikańską, drugi trudny dać jej lud republikański. Pierwszy można spełnić w kilka miesięcy, spełnienie drugiego wymaga pracy kilku pokoleń, można bowiem nieraz zmieniać rząd, nie wpływając wcale na usposobienie narodowe". „Są tacy, co się dziwią lub oburzają się na to, że republika nie wytworzyła sobie republikanów. Czyż więc oni myślą, że przy pomocy tej samej ustawy, którą się ustanawia republikę, można w obywateli wpoić republikański sposób myślenia i republikańską moralność?"

„Z takiej demokracyi, o jakiej marzyli od wieku wszyscy wielcy myśliciele, my dziś mamy tylko ramy i nic więcej, jak same tylko ramy. Czy je trzeba połamać? Nie, trzeba je wypełnić. Oto właśnie praca waszego życia, dla was młodzi ludzie". „Wedle starożytnej teoryi są w państwie trzy władze: sądownicza, prawodawcza i wykonawcza; do was będzie należało stworzenie czwartej, tej mianowicie, w której mocy leży nadać poprzednim całą ich wartość, i jakby czarodziejską siłą poprawić wszystkie ich niedoskonałości. Nazwijmy ją, jeśli pozwolicie, duchem publicznym, *sumieniem narodu*".

„Ciągle się skarżycie na nieszczęścia, których przyczyną jest prasa, zupełnie wolna, wolna w kłamstwie, wolna w oczernianiu (autor miał prawdopodobnie na myśli pisma francuskie w rodzaju „Przeglądu", „Głosu Narodu"); żadna z trzech władz nie daje na to skutecznego środka. To wszystko jest prawda". Ale z drugiej strony „Dzienniki żyją tylko tak długo, jak długo się podobają, dostarczają nam tego, czego żądamy, w ogóle każdy kraj ma takie dziennikarstwo, na jakie zasługuje".

W dalszym ciągu autor wzywa młodzież, by szlachetne i zbawienne zasady propagowała słowem i przykładem i by się przyczyniła do przekształcenia t. zw. *opinii* publicznej w *przekonanie* publiczne, wytwarzające *ludzi obowiązku. Kraj, który będzie miał przekonania, nie da ich sobie wydrzeć, ani przez bojaźń ofiar, ani przez widok długiego tryumfu niesprawiedliwości.* Miejcie przekonania a wkrótce, sami nie wiedząc o tem, wytworzycie wyższą potęgę, prawdziwą potęgę kierującą".

„Powiecie mi, że ta metoda jest nieskończenie powolna, że przerabiać społeczeństwo po jednemu, zdobywać republikę, człowieka za człowiekiem, obywatela za obywatelem, grupę za grupą, to jest przedsiębrać tkanie płótna bez końca, wyzywającego cierpliwość najcierpliwszego z tkaczy?".

„Ja wam odpowiem: ten sposób jest najkrótszy i jedynie pewny, bo nie pozwoli wam popaść w błąd, zwyczajny w tym kraju a polegający na przypuszczeniu, że nowy napis, nowa etykieta na naszych pomnikach wystarczy do wytworzenia nowego ludu". „Dajcie nowej Francyi za podmurowanie Francuzów, którzyby ją zrozumieli; wznieście państwo na obywatelach, aby dusze tysięcy prawdziwych demokratów połączyły się w duszę wspólną tego wielkiego ciała demokratycznego, tak jak się wprowadza krew do organizmu anemicznego; jest tylko jedna metoda zbawienia i to właśnie ta".

„Jest ona, powiedziałem, najkrótszą. Zapominamy zawsze, że czasy się zmieniły, że mamy pod ręką środki o nieznanej jeszcze potędze. *Wszystkie swobody* które mogą być szkodliwe, mogą także być *dobroczynnemi*;

wolność słowa i pióra, książki i dziennika, pracy, bezrobocia, nauczania, stowarzyszeń, propagandy, tylu środków, które stokrotnie powiększają doniosłość naszych czynów i czynią z każdego z nas, choćby z najskromniejszego, którykolwiek tego zapragnął siewcę idei, mającego cały świat za pole". „Dziś myśl idzie tak szybko jak elektryczność, ona już się nie da uwięzić. Gdy kto z was odkryje jutro prawdę użyteczną rodowi ludzkiemu, w ciągu ośmiu dni będzie ona znana na obu półkulach". „Na co się więc zastraszacie czasem, którego będzie potrzeba, aby utworzyć we Francyi tę nową potęgę, która ją zbawi? Bez wątpienia nie będzie to dziełem jednego dnia, ni też jednego człowieka. Ale zastanówcie się nad tem, że gdyby tylko dziesiąta część tych tysięcy uczniów przechodzących przez szkoły miała tę szlachetną ambicyę, by wróciwszy do domów wzięła się do pracy; czy wtedy byłoby przesadą myśleć, że każdy z nich w rok jeśliby chciał zgromadziłby naokoło siebie przynajmniej setkę zwolenników i współpracowników". (Patrz Promień str. 5. Nr. I.).

„Każdej demokracyi, która chce żyć potrzeba znacznej ilości ludzi wyborowych, którzyby byli jej sercem i umysłem", jest to jakby arystokracya intelektualna, trwająca tak długo, jak długo jest użyteczną. „Dlaczego nie mielibyście wy być jedną z takich arystokracyi".

Nakoniec zastanawia się p. Buisson czem Francya może być w przyszłości, czy klerykalno-konserwatywną republiką idącą bezwładnie ku śmierci, czy też postępową wznoszącą się coraz wyżej i dochodzi nareszcie do wniosku: „Ona będzie tem, czem wy zechcecie by była; nie zapominajcie więc o tem i nie składajcie odpowiedzialności na innych, bo właśnie na was ta odpowiedzialność spadnie. Zdecydujcie się, a Francya za wami pójdzie, bo wy jesteście żywą i czynną częścią jej ludności, wy jesteście wyszczególnieni przez wykształcenie, wy jesteście tymi, dla których Ojczyzna najwięcej zrobiła i którzy też najwięcej są jej winni. Zdecydujcie się, mówię wam i nie odpowiadajcie mi, że zostawiacie to na później, żeście jeszcze nie wykształceni, że się dopiero uczycie". „Jest to raczej wynikiem waszej woli, niż wiedzy. Nie będziecie lepiej wiedzieli tego za lat dwadzieścia, niż w tej chwili". „To nie jest odkryciem, które się czyni przez szperanie w książkach albo roztrząsanie badań, to jest promień światła, który wychodzi z serca ludzkiego, jak wielkie myśli, to jest głos wychodzący z głębi sumienia, na który nie ma repliki".

„Spytajcie się samych siebie, jakich zasad dotądeście się trzymali, czy one są takie, że wam młodzieży dojrzałej pomogą spełniać wszystko co jest waszym obowiązkiem, że wam pozwolą począwszy od jutra, od wyjścia z izby szkolnej, aż do godziny wiecznego spoczynku, zostawiać za sobą ten wąski ślad świetlany, oznaczający ziemską drogę ludzi szlachetnych". *M.*

Zawody a powołanie.

Z upragnieniem i gorączkowo oczekujemy chwili, w której ma nastąpić ocena naszej ośmioletniej (względnie 7 letniej) pracy, chwili, która ma decydować o naszej dojrzałości.

Wreszcie pełni nadziei opuszczamy mury szkolne, szczęśliwi, żeśmy się wyzwolili z pod opiekuńczej dłoni profesora. Lecz nie długo mijają pierwsze chwile uniesień, a następuje refleksya. Stajemy bowiem na rozdrożu, wobec pytania — co robić dalej? — gdzie się udać? jakiej się gałęzi wiedzy poświęcić?

Krok bardzo ważny, już to dlatego, że zazwyczaj jest wytycznym dla naszej przyszłości, a powtóre, że po raz pierwszy sami bez opiekunów zrobić go musimy. Już wcześniej, jeszcze na ławie szkolnej powinniśmy się nad tem zastanowić, lecz niestety po większej części bywa inaczej. W gimnazyum myśli się tylko, by już najprędzej pozbyć się matury, co dalej będzie — pokażą rozmaite okoliczności.

Wprawdzie potem mówi się bardzo wiele o powołaniu, zamiłowaniu, poświęceniu i t. d. Ja pozwolę sobie nazwać to, jeżeli nie czczą blagą, to przynajmniej *na dzisiaj* frazesem.

Rzuciwszy bowiem okiem na frekwencyę słuchaczy poszczególnych wydziałów wyższych zakładów naukowych, zauważyć możemy pewne okresowe falowanie. Raz ogromny wzrost liczby słuchaczów na wydziale medycznym, to znów na wydziale prawniczym, w ostatnim czasie ogromny napływ na technikę, a od roku wzrost ten obja-

wia się dosyć znacznie na wydziale filozoficznym. Przecież śmiesznem byłoby twierdzić, żeby raz u ludzi nagle budziło się większe zamiłowanie do tego, drugi raz do innego zawodu. Nie — my wiemy dobrze, co jest regulatorem tego ustawicznego falowania a tłómaczymy je po galicyjsku większem lub mniejszem „zapotrzebowaniem“.

Lecz czyż owo „zapotrzebowanie“ ma być również regulatorem naszych zdolności, zamiłowania, powołania?

Przyczyny, że my wedle potrzeby nastrajamy nasze zdolności, poświęcamy własną indywidualność, sięgają głęboko, ale są zarazem bardzo proste, i wprost bijące w oczy.

Naprzód system nauczania w szkołach średnich nie może obudzić, a przynajmniej bardzo rzadko, zamiłowania do nauki, owszem powiedziałbym, nawet bardzo często odstręcza od myślenia. Zamiast zainteresowania wywołuje zniechęcenie. Uczeń przyzwyczaja się traktować przedmiot nie, aby go poznać, lecz, aby dostać klasę. Nie chcę tu obwiniać bardzo profesorów, gdyż ci muszą się ściśle trzymać instrukcyi, ale faktem jest, że, jeżeli uczeń sam po za szkołą się nie kształci, to po ośmiu latach, po wielkich trudach i kłopotach wychodzi po maturze tak słabo rozwinięty, takie zero umysłowe, że nie raz przykro z nim mówić. Fakt ten jest tak rażący, że dzisiaj już i sfery miarodajne skłaniają się ku reformie szkół średnich. Nic też dziwnego, że dla takiego ucznia jest rzeczą obojętną, co dalej ma studyować, a studyuje najczęściej to, co mu każe mama.

Przypuśćmy, że znów tak źle nie jest, że przecież są jednostki, które już w szkołach średnich nad sobą pracowały i mają pewien wytknięty cel. Lecz niestety i te wyjątki wobec dzisiejszej walki o byt, strasznej walki o własną egzystencyę, zwłaszcza u nas w Galicyi, zazwyczaj zrzekają się swoich, że tak powiem zachcianek i idą tam, gdzie się najpierwej spodziewają pewnego kawałka chleba, lepszych widoków na przyszłość. Nawet tacy, którzy już wcześniej wyrobili sobie pewne przekonania, chcąc swobodnie wypowiadać swe myśli, a z drugiej strony zabezpieczyć sobie jaki taki byt, z konieczności obierają zawody, do których może najmniej czują zdolności.

Jakież stąd skutki? — Człowiek, poświęcając się pewnemu zawodowi z konieczności lub kierując się tylko zdaniem krewnych, widokami na przyszłość, nadzieją protekcyi i t. d. a nie czując w sobie odpowiedniego uzdolnienia, jest w ustawicznej ze sobą sprzeczności; każda drobnostka zniechęca go do pracy, wszystko go denerwuje, robi się zgryźliwym przykrym dla siebie i dla drugich.

Nie powiadam, żeby to było regułą — jednostki, które trafiły na swój grunt, mogą się wybić, ale większość, z której niejeden w innym zawodzie mógłby rozwinąć swoje zdolności, powoduje się wspomnianymi względami, a w ten sposób skazuje się już z góry na stanowisko zwykłych pionków. A społeczeństwo coraz bardziej odczuwa brak ludzi nauki, ludzi prawdziwie wykształconych, czy to fachowo, czy też ogólnie.

Za to mówi się szeroko dzisiaj o swobodzie nauczania i słuchania, o dowolnem obieraniu zawodu nawet o powołaniu, zamiłowaniu — są to, jak powiadam bardzo ładne frazesy, którym jednakże nieubłagana rzeczywistość obecnego społecznego ukształtowania podcina nogi i tak smutne wywołuje konsekwencye.

Przygrywka kobzara.*)

(Z Szewczenki, napisana przez poetę na wygnaniu w gub. Orenburgskiej).

Dumy moje, dumy moje,
Oj, źle mi jest z wami!
Po co stać wam na papierze
Smutnymi rzędami?
Czemu wiatr was po szerokim
Stepie nie rozmiecie?

*) Umieszczając powyższy przekład z Szewczenki Stanisława Grudzińskiego dodamy parę wyjaśnień. Pod względem artystycznym przekład ten nie ma sobie równych, ponieważ wykonany jest przez poetę liryka a do tego Ukraińca i mającego wiele wspólnych cech z Szewczenką, nawet w swoich oryginalnych poezyach, które stanowią w literaturze naszej osobną grupę poezyi lirycznej, najwięcej zbliżonej swą formą i duchem do poezyi ruskiej. W przekładzie powyższym Grudziński nietylko odczuł i zrozumiał Szewczenkę, tęskniącego do swego kraju, jęczącego w jarzmie niewoli, ale oddał to w tak udatnej formie, że kto zna oryginał, a czyta ten przekład, ten mimowoli zapomina, że po polsku czyta, do takiego stopnia podlega złudzeniu, słuchając tych samych myśli, w tomsamem tempie prawie dosłownie przełożonych.

A zła dola nie zagubi,
Jak swe własne dziecię!
Bo na świat, na śmiech, licho was zrodziło
Czemuż w łez krynicy was nie utopiło?
Nie uniosło w morze, nie rozwiało w polu...
Niktby mię nie pytał o serdecznym bolu,
Niktby mię nie spytał, czemu świat tak trudzi,
Czemu los przeklinam. „Ot zwyczajnie nudzi!“
Orzekliby szydząc....
Kwiatki moje, dzieci!
Za co was kochałem i pieściłem tyle?
Czyliż w czyjem oku taka łza zaświeci,
Jakiemi ja płakałem?...
Może się i mylę,
Może znajdą się dziewczęta,
Serca i oczęta,
Co się łzami będą rosić!...
Że mnie tego dosyć! —
Jedna łezka z czarnych oczu —
Jam pan nad panami!
Dumy moje, dumy moje,
Oj, źle mi jest z wami!
Za ciemnemi oczętami,
Czarnemi brewkami,
Serce rwało się i śmiało
I piosenki snuło...
I śpiewało tak, jak czuło
I tak, jak umiało,
I o czarnych tych oczętach,
O sadach wiśniowych,
O pieszczotach i dziewczętach...
Ale o stepowych
Tych kurhanach w mej ojczyźnie
Serce nie śpiewało...
Serce więdło, a nie chciało
Śpiewać tak w obczyźnie!
Nie chciało się w śniegu, w lesie
Kozacką gromadę
Z buławami, buńczukami
Zbierać na naradę.
Niech kozacze lecą dusze
Do swojego słońca,
Gdzie szeroko, gdzie wesoło
Od końca do końca.
Gdzie jak wolność, co minęła,
Dniepr nasz rozhukany,
Gdzie „porohy“, tam gdzie w stepie
Jak góry — kurhany. —
Tam powstała, tam bujała
Ta kozacza wola,
Co trupami, tatarami
Zaścielała pola. —
Zaścielała trupem pole
A gdy się znurzyła,
Chciała spocząć, a w tem nad nią
Wyrosła mogiła.
Nad mogiłą czarne orły
Jak stróże latają,
O mogile dobrym ludziom
Kobzarze śpiewają;
Opiewają krwawe dzieje,
A ja... ja — niemowa
Łzy wylewam za Ukrainą,
Prócz nich — ani słowa!
A o biedzie... co tam mówić!
Kto nie zna złej doli!
A kto sercem w świat spogląda
Tego serce boli...

Kto pogodzić się nie umie
Ze swem przeznaczeniem,
Piekło temu na tym świecie
A w tamtym...
Cierpieniem
Nie wypłaczę sobie szczęścia!
Żmiję koło serca
Tak zakryję, aby ze mnie
Nie śmiał się szyderca!

Niechaj dumka jak kruk czarny
Tak lata i kracze,
A serdeńko jak słowiczek
Szczebiota i płacze...
Cicho... ludzie nie zobaczą,
To się nie zaśmieją. —
Więc nie otrę łez mych z oczu,
Niech się sobie leją!
Niech na cudze, obce pole
Ciepła łza się toczy,
Aż na wieki mnie zasypią
Cudzym piaskiem oczy.
Taka dola! a cóż robić?
Smutek nie pomoże...
Kto sierocie pozazdrości,
Skaraj tego Boże!
Kwiatki moje! dumy moje!
Na niedolę sobie
Was pieściłem, hodowałem —
Cóż ja z wami zrobię!
W Ukrainę lećcie dziatki,
W waszą Ukrainę
Ubogiemi sierotami
A ja tu już zginę!
Tam znajdziecie szczere serce
I słowo łaskawe,
Tam znajdziecie szczerą prawdę,
A może i sławę...

Przyjmij-że je, Ukraino,
Moje biedne kwiatki,
Moje dziatki nierozumne,
Jakby własne dziatki! —

Stanisław Grudziński.

KORESPONDENCYE.

W sprawie żydowskiej.

Od kol. J. I. z S. otrzymaliśmy list, dotyczący tej sprawy. Korespondent nasz wyraża nadzieję, że „Promień“ i uczniom „*żydowskiej narodowości*“ przyświecać będzie. Zdaniem jego, program asymilacyjny zbankrutował, obojętnie lub wrogo przyjęty zarówno przez żydów, jak chrześcijan. Wobec tego jedynie właściwym kierunkiem żydowskim jest syonizm, dążenie do „odbudowania niepodległej, demokratycznej Palestyny“. Kol. J. I. „apeluje“ przeto do naszego „poczucia sprawiedliwości“, byśmy i żydom praw narodowych nie odmówili.

Nie chcąc zostawiać w umysłach żadnych wątpliwości co do naszego stanowiska w tej sprawie, postaramy się wypowiedzieć z całą dokładnością, choć zwięźle.

Wszelki antysemityzm, rasowy, wyznaniowy czy ekonomiczny, jest nam obcy. Nie będziemy nikogo potępiali ani lekceważyli ze względu na jego pochodzenie lub wyznanie; czynniki te nie rozstrzygają bynajmniej o wartości człowieka; nie powinny one też przeszkadzać zgodnemu pożyciu i łączności między obywatelami jednego kraju.

Co się antysemityzmu ekonomicznego tyczy, to uważamy go za błąd i za taki sam objaw wstecznictwa, jak inne rodzaje antisemityzmu. Nędza i wyzysk zależą od różnych czynników społecznych; wypędzenie żydów, lub stosowane względem nich prawa wyjątkowe ogólnych przyczyn złego nie usunęłyby — a prócz tego przeczyłyby względom humanitarnym i tradycyom polskim. Pracować należy nad zasadniczą poprawą stosunków ekonomicznych i zwalczać wszelkie czynniki szkodliwe. O ile żydzi rolę złą i szkodliwą odgrywają — potępić ich należy. Ale też *nikogo* bez względu na pochodzenie i wyznanie bronić nie będziemy, jeżeli w oczach naszych krajowi szkodzi.

Żydów uważamy za równouprawnionych obywateli kraju; więc też musimy żądać od nich, aby obowiązki względem kraju sumiennie wypełniali. Nikogo nie chcemy zmuszać, aby uważał się za Polaka; nie wchodzimy w to, czy masa żydowska może uledz asymilacyi, czy nie. Czego nie chcemy, to odrębnej organizacyi żydów, to wyosobniania się ich jeszcze większego, niż dotychczas, to wrogiego z ich strony stosunku względem Polaków. — Syonizm zaś z tego mianowicie względu uważamy za niepożądany, że musi on usposabiać żydów wrogo względem kraju, tworząc z nich umyślnie odrębną organizacyę, odsuwając od kultury polskiej, wkładając im w ręce sztandar polityki specyalnie żydowskiej. Celu swego syonizm nie dopnie, ale samo dążenie do niego jest z powyższej przyczyny szkodliwe. Nawiasowo powiemy, że wątpić należy o „demokratyczności“ przyszłego „państwa żydowskiego“, które ma być zdobyte nie wysiłkiem rewolucyjnym ludu, lecz — pieniądzmi bankierów żydowskich.

Dodamy wreszcie, że najpożądańszymi sojusznikami dla nas są ci z pośród żydów, którzy są z uczucia i przekonania Polakami, chcą pracować dla kraju i walczą wraz z nami o *niepodległą, demokratyczną Polskę.*

Kraków 9 kwietnia 1899 r.

Szanowni Koledzy!

Kilka słów początkowych mego listu poświęcę na wyrażenie szczerej wdzięczności Wam, Szan. Koledzy, za pracę, jakąście rozpoczęli w interesie dobra młodzieży szkół średnich; niewiem czy znajdę najszczerszy wyraz wdzięczności, ale za to będę się starał zastąpić go czynem przez rozszerzanie naszego pisemka. Rozszerzanie naszego pisemka ma dla całej młodzieży znaczenie tak doniosłe, jak doniosłem i wspaniałem jest zadanie i posłannictwo młodzieży, wskazane jej w „Odzie do młodości“. Za to, że możemy już być „jednością silni“, Wam się należy wdzięczność za Waszą pracę, Szanowni Koledzy, około zjednoczenia nas w niniejszem pisemku. Pozostaje się nam i Wam starać o to, abyśmy byli „rozumni szałem“. Jest to bardzo ważną rzeczą, ażeby rozum, — szał równoważył i na odwrót. Pozwólcie sobie Szanowni Koledzy zrobić ten zarzut, że w krytyce Etyki katolickiej szał wziął górę nad rozumem w sło-

wach, krytykujących zdanie nie autora Etyki katolickiej, ale św. Franciszka Salezego, w sprawie tańców(?! Red.). Zresztą zaś dotychczas z całem górnem poczuciem naszych świętych obowiązków, „jednością silni, rozumni szałem“ idziemy za Wami, za ukochanym naszym „Promieniem“ aż do „słońca zbawienia“.

A teraz, żeby zrobić choć pół kroku do tego „słońca zbawienia“, chciałbym Wam i Kolegom wszystkich szkół średnich zadać i odpowiedzieć (nb. tym, którzy sobie sami nieodpowiedzą) na jedno pytanie: w jaki sposób można zyskać sobie olbrzymią zasługę około uchronienia ojczystego języka od takich paskudnych naleciałości niemczyzny, które się powtarzają w codziennem użyciu np. „co kosztuje ten ding“ — cztery „guldeny“ i 25 „krajcarów“ i t. p. Otóż w bardzo prosty sposób! Oto zdarza się po największej części, że na jednej stancyi bywa po kilku Kolegów. Jakby to pięknie i pożytecznie było, gdyby wzajemnem przestrzeganiem skazywali się na karę choćby 1/2 jeśli już nie jednego centa za nie mające w naszym języku prawa bytu naleciałości! Wszakżeż dając pół lub jednego centa, nie zubożejemy znowu tak bardzo a posłuchajcie Koledzy, wiele będziemy mieli z tego korzyści: 1) będziemy mieli olbrzymią zasługę jak już wyżej wspomniałem około oczyszczenia ojczystego języka, który jest tak skalany paskudnymi germanizmami. Każdy bowiem, nie chcąc się narazić na karę pół lub jednego centa, będzie się starannie germanizmów wystrzegał — a jak to przyjemnie będzie w późniejszych latach z dumną satysfakcyą przypisać sobie w tej pracy nad ojczystym językiem znaczną część tej olbrzymiej wspólnej zasługi jeszcze z lat młodocianych! Po drugie: pieniądze, (czy to będzie 1 złr. czy 2 złr za 2 lub 3 miesiące) w ten sposób zebrane, można albo zaraz odesłać np. na Gimnazyum w Cieszynie, lub na jakiś inny patryotyczny cel obrócić, albo założyć sobie taką małą, studencką kasę pożyczkową, z którejby korzystali Koledzy, będący na danej stancyi, albo też na inne również godne młodzieży polskiej cele. W ten sposób pomaga się naszej strażnicy na granicach, która obecnie dużo zapomogi potrzebuje, pomaga się wreszcie sobie samym, bo kasa może urość do kilku złr., które z końcem roku zwrócone z pożyczek, można obrócić na jakieś patryotyczne cele. Dla braku miejsca nie wymieniam tu innych olbrzymich korzyści — ale i te są już wielkim krokiem na drodze naszego posłannictwa. Wystarczą one jak na nasze młode siły; przytem trzeba sobie nam z dumą przyznać, że właśnie my jesteśmy od tego, żeby nasz język oczyścić — bo taką drobiazgową drogą do powyższego celu starzy dojść nie mogą a jeśli nie chcą — my ich zawstydzimy! *Drohojos.*

W kwestyi ruskiej.

Otrzymaliśmy od jednego z uczniów krakowskich list, pod pseudonimem „Kaja“, zawierający odpowiedź na artykuł Rusina gimnazyalisty w 2. numerze „Promienia“. List ten zrobił na nas przykre wrażenie; wykazuje bowiem dziwne zabałamucenie i niedojrzałość poglądów na tak doniosłą kwestyę, jak polsko-ruska. To też nie możemy go pominąć milczeniem tembardziej, że daje nam to sposobność wyjaśnienia kilku bardzo ważnych, a często bardzo płytko i mylnie pojmowanych rzeczy.

Według autora „Rusini to tacy synowie naszej Ojczyzny, jak np. Kaszubi i Słowacy“. Przedewszystkiem Słowacy nie są synami naszej Ojczyzny, a *Rusinów jako narodu nie możemy stawiać na równi z Kaszubami, których język jest tylko narzeczem polskiego.* „Język ruski“, podnosi autor, „to nie mowa chłopska, ale język ludzi oświeconych i wykształconych“, a zapomina, że każdy język zawdzięcza swój rozwój, bogactwo i czystość raczej ludowi, niż inteligencyi, w której ustach narażony jest zbyt często (nieraz z niskich pobudek) na obce jego duchowi wpływy. Ciekawiśmy, czy np. taki „Hałyczanyn“ czy „Galiczanin“ czasopismo wydawane przecież przez Rusinów inteligentnych, gardzących nawet językiem ludowym, przyczynia się do czystości ruskiej mowy? Fakt, że na język ruski uczęszcza bardzo mało Polaków, przypisuje autor ogólnej słabej frekwencyi w przedmiotach nadobowiązkowych; my konstatujemy, że rzeczywiście na przedmioty nadobowiązkowe chodzi nie wielu uczniów, ale z tych przedmiotów najmniej uczniów—Polaków liczy język ruski. Młodzież polska nie czuje potrzeby uczenia się języka ruskiego, bo ani w domu, ani w szkole jej tej potrzeby nie wykazują i dlatego też język ruski do tej pory nie stał się drogą zwyczajową prze-

dmiotem faktycznie obowiązkowym, jak np. nauka historyi polskiej.

W dalszym ciągu autor zastanawia się nad kwestyą braterstwa Polaków, niepodległości i odrębności narodowej Rusi-Ukrainy, wypowiada zdanie, że „Lach i Rusin to synowie jednej Matki", obawia się, coby się stało w razie odbudowania Rusi w granicach etnograficznych (autor nie rozumie, co znaczy granica etnograficzna. Przyp. Red.) z żyjącymi wśród ludu ruskiego mieszczanami i obywatelami polskimi a wyrażając przekonanie, że Rusini zarówno za czasów Rzeczypospolitej polskiej jak i teraz w Galicyi byli i są równouprawnieni z Polakami i, że wszystkie ich słuszne żądania są zaspakajane, popiera je takimi dowodami, jak dawniej *nadawanie Rusinom przywilejów, obdarzanie majątkami*, budowanie cerkwi, dziś natomiast zakładanie nowych szkół ludowych i gimnazyów ruskich, subwencyonowanie wydawnictw i *tolerowanie* języka ruskiego w urzędach.

Prawda, że Ruś przez długie wieki dzieliła dobrą i złą dolę z Polską i że bratnie uczucia Rusinów i Polaków znajdowały wyraz w łącznej obronie przed wspólnym wrogiem; ale z drugiej strony przyznać musimy, że nieraz Rusini cierpieli ucisk, wprawdzie w przeważnej części natury społecznej, (boć i szlachta ruska brała w nim udział) niewątpliwie jednak szkodliwy dla Polaków i Rusinów, bo budząc niechęć tych ostatnich do Polaków, parł ich w objęcia Rosyi. Krzywdy zaś, wyrządzonej całemu narodowi ruskiemu, nie mogło chyba wynagrodzić budowanie cerkwi lub przywileje, ubliżające godności każdego narodu, które i tak uszczęśliwiały tylko jednostki lub „wyższe" klasy narodu, a zwiększały niedolę szerszych warstw ludowych. Dziś jest jeszcze gorzej.

Naprężenie stosunków między obu narodami jeszcze bardziej się wzmogło, a przyczyną tego nie same warunki zewnętrzne.

Bezwątpienia takie czynniki, jak obce intrygi, fatalny stan ekonomiczny Galicyi podniecają antagonizm Polaków i Rusinów, ale skąd to pochodzi, że dwa te narody, tak blisko spokrewnione, tylu pamiątkami i tradycyami ze sobą związane, dziś zamiast iść razem, rozłączają się i stają na obojętnem, albo wprost wrogiem względem siebie stanowisku, jakby zapominaja o tem, że wspólna niewola ich gniecie i wspólny cel przed sobą mają tj. *zdobycie niepodległości!* Pytanie powyższe prowadzi nas do właściwego rozstrzygnięcia rzeczy, odpowiadamy na nie krótko i prosto: wina złych stosunków leży przedewszystkiem po stronie samych narodów i to, przyznać trzeba z żalem, więcej po stronie Polaków. Bo niech tak każdy z nas, Polaków, uderzy się w piersi i niech się spyta swego sumienia, czy rzeczywiście był zawsze i wszęcie sprawiedliwym względem Rusinów, czy na dnie jego serca nie zostało choć trochę niechęci i uprzedzenia do tego narodu? Przypatrzmy się np. jak wygląda dziś równouprawnienie Polaków i Rusinów w Galicyi wschodniej. Słyszymy ciągle takie ogólniki, jak Rusini mają swoje szkoły i gimnazya, język ich jest równouprawniony z językiem polskim w urzędzie, ale zważmy że 1) gimnazyów ruskich w Galicyi jest tylko 3, 2) zdarzają się takie wypadki, że w miejscowości rdzennie ruskiej nauczyciel Rusin musi wykładać po polsku (wypadek taki miał miejsce we wsi Żabie). Powiadają, że gimnazya ruskie aż nadto wystarczają Rusinom, ale w takim razie niech wytłómaczą, dlaczego gimnazyum kołomyjskie ruskie liczy prawie tyleż uczniów, co i polskie, mimo, że w polskiem gimnazyum liczba uczniów z otwarciem gimnazyum ruskiego prawie się nie zmieniła. Pamiętajmy dalej, że Rusini nie mają ani jednego ruskiego uniwersytetu, a są przecież narodem przeszło 20 milionowym, który także ma swoje potrzeby umysłowe, i że Galicya jest dziś jedynym krajem, gdzieby taki uniwersytet mógł powstać. Równouprawnienie języka ruskiego w urzędzie istnieje tylko na papierze.

Wina i odpowiedzialność za to wszystko spada naturalnie na te warstwy inteligencyi polskiej, które stoją u steru rządów w Galicyi, ale nie wyłącznie; winna jest bardzo także cała inteligencya polska, która dotychczas jeszcze nie otrząsnęła się z przesądów i niechęci, żywionych ku Rusinom i w tych przesądach i niechęciach wychowuje dzisiejsze pokolenie młodzieży. A przecież my sami wiemy i czujemy, co znaczy być pozbawionym praw narodowych, my sami w Rosyi i Prusach żądamy dla siebie już nie praw narodowych, ale *sprawiedliwości*, miejmyż przynajmniej tę sprawiedliwość i dla innych.

Co do braterstwa Rusinów, co do jednej Matki-Ojczyzny, to kwestyi tej teraz rozstrzygnąć nie możemy. Trudno przewidzieć,

jak się w przyszłości stosunki ułożą, t. j. czy w razie wybicia się na wolność obu narodów, Polska i Ruś tworzyć będą unię, czy też odrębne organizmy. Są to kwestye teoretyczne, zawisłe zupełnie od dobrej woli obu stron, nie wpływające jednak bynajmniej na osłabienie tego związku, jaki istnieć powinien między dążeniami Polaków i Rusinów, na zachwianie tej łączności, jaką oba narody zachować mogą w pracy nad zmianą obecnych stosunków a wytworzeniem lepszych, nad zdobyciem lepszej przyszłości.

Wyrok w sprawie strejku uczniów

lwowskiej szkoły realnej.

Rada szkolna krajowa wydała wreszcie wyrok w sprawie strejku.

Ucznia Greka *ze szkoły wydalono za spowodowanie kolegów do opuszczenia nauki szkolnej, przez kłamliwe przedstawienie im nagany, udzielonej mu przez dyrektora zakładu.* Dwóch uczniów skazano na 16 godzin karceru, wszystkim strejkującym udzielono publicznej nagany; pisma dodają jeszcze, że godzin opuszczonych wskutek strejku uczniom „nie usprawiedliwiono“, przyczem pozostawiono profesorom możność późniejszego usprawiedliwienia godzin w miarę wzorowego zachowania się uczniów.

Inspektor Franke odczytał wyrok, gazety powtórzyły jego treść bez żadnych komentarzy, z tym jednym dodatkiem, że główną winą było „oszczerstwo“ rzucone na dyrektora. Uczniowie 6-tej kl. realnej „poszli po rozum do głowy“, wysłali deputacyę do dyr. Gerstmana, aby go przeprosić za nieposłuszeństwo i przykrości, spowodowane „fałszywem zeznaniem kol. Greka“; (stało się to tylko za sprawą mniejszości, większość była przeciwną) dyrektor ucieszył się z ich przybycia, oświadczył, że gdyby go nie przeprosili, jużby „nadal ich klasy nieznał“. Wszystko wróciło do dawnego spokoju; dyrektor i powaga profesorska odniosły pełne zwycięstwo. W tem nagle spadł grom z jasnego na pozór nieba: w „Kuryerze Lwowskim“ z dnia 21-go kwietnia 1899 r. pojawił się „List otwarty“ p. Bronisława Greka, ojca wydalonego ucznia do.... p. Dra Teofila Gerstmana. Ze względu na znaczenie tego listu dla zrozumienia całej sprawy przytaczamy z niego na tem miejscu wyjątki, ciekawych całości odsyłamy do odnośnego numeru „Kuryera.“

I tak zaraz na wstępie po przytoczeniu treści wyroku czytamy:

„O tem, że się wykazało, iż uczyniony mojemu synowi zarzut, że palił papierosa w kościele — był absolutnie nieprawdziwym, ani też o tem, by ktoś za powyższe oszczerstwo na mojego syna rzucone, — był pociągniętym do odpowiedzialności, o tem ani reskrypt Rady szkolnej krajowej ani enuncyacye w pismach krajowych, żadnej nie zawierają wzmianki. „Cel listu mego leży w tem, aby dziecko moje, które i tak cierpi już aż nadto *za grzechy niepopełnione* i pokutuje *za winy obce*, oczyścić przynajmniej przed światem od *zarzutu oszczerstwa, publicznie a tak niesłusznie mu uczynionego.*“ „*Syn mój* twierdzi stanowczo, *że go dyrektor w twarz uderzył, dyrektor* przeczy, jakoby uderzenie nastąpiło w twarz, *przyznaje jednak, że ucznia czynnie poturbował.* Fakt zatem czynnej zniewagi wątpliwości ulegać nie może, — a całe *oszczerstwo polegać ma w tem, iż ręka Dyrektora nie twarzy* ucznia, lecz *innego miejsca obok twarzy dotknąć mogła* Czy to tak wielka różnica pozostawiam ocenie ludzi bezstronnych.“ „Tylko scholastyczna biurokracya, dla której każdy reprezentujący „Władzę“ jest nietykalny i nieomylny — może powyższy istotny rdzeń tej sprawy — o tyle spaczyć, by *punktu ciężkości całej afery,* nie szukać w tem, czy *uczeń został czynnie znieważony* i za co go to spotkało, lecz w tem robić kwestyę, która część głowy lub tułowia ucznia, ręką dyrektora dotknięta została, — aby na tej podstawie wyargumentować oszczerstwo ucznia.“ Ale i z tego punktu widzenia rzecz oceniając, szereg okoliczności przemawia za tem, że *prawda jest po stronie mojego syna,* mianowicie: 1) uderzony najlepiej może wiedzieć, gdzie zadany raz go trafił i gdzie ból uczuł; przeciwnie bijący, który działał w największem uniesieniu i jak przyznaje chwycił chłopca za kark i targał nim, — z pewnością nad ruchami swych rąk tak dalece nie panował, by stanowczo mógł stwierdzić, które miejsce na ciele ucznia jego ręką dotknięte zostało; 2) niepodobna wprost znaleźć logicznego argumentu, dla którego by chłopak, nie będący już dzieckiem, miał ni stąd ni z owąd

kłamliwie twierdzić, że został w twarz uderzony, kiedy on wie o tem dobrze, że zawsze niezależnie od warunków, jest to dla niego śmiertelna obraza. *Samochcąc i wbrew prawdzie nikt takiej potwarzy na siebie samego nie rzuci.* Przeciwnie, zaprzeczenie dyrektora jest wypływem położenia bez wyjścia i o ile rozum ludzki, wedle natury wypadku każe absolutnie wierzyć w to, co zapodał chłopak ze swojej wolnej woli, bez wszelkiego psychicznego przymusu i *wbrew najosobistszemu interesowi*, o tyle rozum i logika, nakazują *nie przypisywać żadnej wagi do zaprzeczeń Dyrektora*, gdyż są one wypływem fatalnej konieczności, są podyktowane *względem o własne swe stanowisko i własny materyalny i moralny interes*; 3) Chłopak oskarzenie swoje przeciw dyrektorowi wniósł do rodziców swych (którzy wtedy przypadkowo na 2 dni przybyli w odwiedziny do syna) *natychmiast bezpośrednio po fakcie*; przeciwnie dyrektor zrazu nie przeczył wcale zarzuconej mu zniewagi, owszem *zachowaniem się całem tak wobec mnie samego, jakoteż w obec mojej żony*, fakt milcząco przyznawał, był usposobienia nad wyraz pojednawczego, obiecywał nawet synowi mojemu publiczną satysfakcyę wobec klasy i rodziców," (w dalszym ciągu p. Grek dodaje drobniejsze szczegóły, jak go dyrektor wówczas, gdy się już wykazało, że historya z papierosem jest nieprawdziwą, prosił do swego mieszkania, częstował cygarami itd.)

Jasne, logiczne i proste wywody swe kończy autor „Listu otwartego" w sposób następujący: „Panie Dyrektorze! Zwracam się jeszcze i odwołuję do Twojego serca i sumienia." „Czy nie dość było tych krzywd mojemu dziecku, że *go publicznie okrzyczano i osmarowano jako bezbożnika i ateusza*, który dom Boży skalał, żeś go *Pan czynnie znieważył i zniesławił najniewinniej w świecie, że go wykluczono z zakładu i złamano mu przyszłość?* czyż godziło się jeszcze na domiar *piętnować go kłamcą i oszczercą? Proszę sobie wyobrazić, jak poczucie tak rażącej krzywdy i niesprawiedliwości podziałać może i działać musi na młody umysł: jakie w nim budzić może poszanowanie dla urządzeń ludzkich i pojęcie o tem, co złe a co dobre, co słuszne, sprawiedliwe, a co krzywda i bezprawie. W ten sposób wszczepia się w serca młodzieży tylko pogardę dla prawa i prawdy, a uwielbienie dla przemocy i wykrętu: w ten sposób odbiera się umysłom młodym wszelkie poczucie szlachetnego idealizmu, a wszczepia się w ich duszę posłuch dla wszelkich złych instynktów, byle się nie dać złapać i zwalić winę na drugiego.*

Wszystko to przedstawiam Ci, Panie Dyrektorze, aby dać Ci możność naprawy złego. Jakkolwiek bowiem wyrok wypadł na niekorzyść mojego dziecka — to jednak sprawa i tobie gładko ujść nie może. Mamy tu do czynienia z dobrze znaną taktyką austryackiej biurokracyi.

Na razie musi być przyznana racya Władzy, aby broń Boże nie przyznać, że zbłądziła. Ale pro foro interno, fakt taki zostaje w dobrej pamięci rządu; ubiegnie kilka miesięcy a dadzą Ci, Panie Dyrektorze, do zrozumienia, że zachodzą różne trudności, że potrzeba, młodej, energicznej siły na posadzie dyrektora szkoły realnej etc. etc. i ni stąd ni z owąd znajdziesz się po za obrębem władzy i stanowiska, dotąd piastowanego. O awansie również mowy nie ma. Więc czegoż trzymać się tak kurczowo i mając przeszłość za sobą nie bez zasług, brać na swe sumienie szczęście i przyszłość młodego człowieka, na to tylko, aby się nie przyznać do jednej chwili słabości lub nieszczęścia, które samo ujmy by ci przynieść nie mogły." „Budując na twoich uczuciach religijnych, wyrażam najgłębsze przekonanie, że gdybyś stanął w obec krzyża św. a nie przed zielonem suknem administracyjnego śledztwa, to słowa pańskie musiałyby zwrócić cześć memu dziecku! Uczynić to leży w pańskiej mocy! Wierzaj mi Panie, że tego tryumfu wszyscy więcej zazdraszczać Ci będą, niż *zwycięstwa, które obecnie z tak ogromnym wysiłkiem odniosłeś nad 18-letnim młodzieńcem.*"

Skonfiskowano.

Nakonice, wyrazić musimy jeszcze nasze zdziwienie z tego powodu, że uczniowie VI. kl. realnej tak łatwo zaufali reskryptowi Ra-

dy szkolnej, odrazu potępili kolegę, a przeprosili Dyrektora. Fakt ten jest plamą w całem ich dotychczasowem postępowaniu....

Ciekawiśmy, jaki będzie dalszy przebieg sprawy.

W sprawie organizacyi ćwiczeń wojskowych w szkołach krakowskich.

W numerze 2-gim w artykule p. t. „O młodzieży i do młodzieży“ znajdowała się wzmianka o urządzaniu musztry przez jednego z katechetów lwowskich. Obecnie donoszą nam o nowej organizacyi tego rodzaju, t. zw. „organizacyi ćwiczeń wojskowych“, urządzonej na daleko większą jeszcze skalę, bo obejmuje ona wszystkie gimnazya krakowskie i tamtejszą szkołę realną. Postarano się tam mianowicie o specyalne pozwolenie Ministerstwa oświaty co do urządzania wielkich manewrów-wojennych na błoniach krakowskich. Tu już „oficerowie“ i ich „adjutanci“, którymi są przeważnie bogaci hrabczukowie, harcują na koniach, słuchając pilnie rozkazów pana generała, ucznia Suwały. Prof. Pieniążek natomiast pełni rolę najzaszczytniejszą, jest bowiem „ministrem“.

*) „Nie występujemy w zasadzie przeciw tej nowej instytucyi, gdyż podobne ćwiczenia wpłynąć mogą bardzo korzystnie na rozwój fizyczny ucznia, nie mówiąc już o tem, jakie mogłyby w danym razie przynieść korzyści moralne, ale stanowczo musimy wystąpić przeciw organizacyi, będącej pod protektoratem profesorów pseudo-patryotów, ludzi, którzy nie mogąc w inny, przynajmniej w ten sposób, chcą zyskać sympatyę młodzieży, przeciw organizacyi kierującej się takiemi zasadami, jakie niżej przedstawimy“.

Mamy mianowicie pod ręką „Regulamin ćwiczebny“(?), wydany w marcu b. r. przez „Radę główną“, która stoi na czele całej organizacyi. „Regulamin“ podzielony jest na 11 paragrafów, jako wydawca podpisany jest na nim podporucznik *E. Rettinger: dochód* z rozprzedaży *przeznaczony na zakupno bębnów* dla pułku I-go. Przechodzimy do treści poszczególnych paragrafów.

§. 1. podaje podział organizacyi na 4 pułki, odpowiednio do 3 gimnazyów i 1 szkoły realnej.

§. 2. określa cel organizacyi, polegający na tem, aby przez urządzanie musztry na dziedzińcach, odbywanie wycieczek wyrobić w młodzieży karność, poszanowanie prawa i władzy i zadzierżgnąć silniejszy węzeł koleżeństwa. Na pozór wygląda to bardzo pięknie, ale każdy chyba domyśli się, co należy rozumieć pod tem poszanowaniem prawa i władzy! Oto zrzeczenie się osobistej godności, oto poddanie swego karku pod jarzmo niewoli, oto ślepe posłuszeństwo na rozkazy i skinienia zwierzchniczej władzy; a co do zadzierżgnięcia silniejszych węzłów koleżeństwa, to następne paragrafy dowodnie nas przekonują, że słowa te są tylko czczym frazesem. Wszak tam, gdzie szczęśliwi „wybrańcy“ mianują „oficerów“ musi się wyradzać wzajemny antagonizm kandydatów i szukanie protekcyi, bo na tej drodze wyniesienie jest najpewniejsze, następnie zaś wstrętna chęć przypodobania się profesorowi-ministrowi, który jako główny naczelnik z pewnością ma wpływ największy; wreszcie zarysowują się przez to jeszcze bardziej różnice klasowe, zwykle już przez samą szkołę dość rozwinięte, bo przecież ubodzy, których nie stać na konie i protekcyę, zostają na wieki szeregowcami, podczas gdy bogaci i herbowni, harcując na koniach jako „wodzowie“, patrzą z góry, lekceważą sobie szeregowców, nazywając ich (autentyczne) „głupimi gemeinerami“. Najlepszym zaś dowodem na nasze powyższe twierdzenie jest §. 11. regulaminu, w którym czytamy, że „w stosunkach służbowych“ ustaje wszelka poufałość koleżeńska.

Następne paragrafy wprost wywołują oburzenie. Dowiadujemy się z nich bowiem, że wszyscy członkowie organizacyi *obowiązują się słowem honoru do posłuszeństwa w obec regulaminu i przełożonych i stwierdzają to zobowiązanie podpisem w księdze pułkowej.* Nie pojmujemy wprost, jak mogą koledzy od kolegów czegoś podobnego wymagać i narażać ich na to, że przyszedłszy do opamiętania po chwilowem zabałamuceniu, nawet po chwilowym zapale, mogą żałować swego słowa honoru, a nie podobna im go cofnąć!

---

*) wyjątki z listu, przysłanego nam w tej samej kwestyi przez jednego z uczniów krakowskich.

To też twierdzimy stanowczo, że paragrafy te nie zostały wymyślone przez samych uczniów, lecz są poddane im przez ludzi starszych, którzy zapewne mają w tem jakiś ukryty cel.

Z wielką przykrością przychodzi nam pisać o tem i w tak ostrych słowach gromić postępowanie młodzieży krakowskiej, ale uważamy za swój obowiązek obudzić ją z tego szału, jaki na chwilę zapewne ją ogarnął. Koledzy, czyż nie dość wam rozmaitych przepisów i form, któremi związani jesteście wśród murów szkolnych, czyż jeszcze i tam, gdzie samodzielnie możecie się ruszać, potrzeba wam paragrafów i formułek, a nie wystarcza wam wasze koleżeństwo i wzajemna wyrozumiałość? Czyż zapomnieliście o tem, że przed wami leży daleko ważniejsza praca, niż tworzenie organizacyi wojskowych, praca samokształcenia i wyrabiania się na tęgich obywateli Ojczyzny naszej? Czyż nie szkoda wam czasu na zabawki i przyjemności, których aż za nadto zakosztujecie w jednorocznej służbie wojskowej. Ocknijcie się, póki jeszcze czas, bo już niezadługo może być za późno!

* * *

W ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że w szkołach krakowskich wydano zakaz odbywania ćwiczeń na błoniach, z powodu, że „trawa jeszcze nie wyrosła“, a uczniowie odbywając musztry tratują pastwisko, dla bydła przeznaczone.

Wychowanie moralne w szkołach.

W warszawskim „Przeglądzie pedagogicznym“, czasopiśmie poświęconem wychowaniu domowemu i szkolnemu spotykamy cały szereg artykułów poruszających kwestye, które i my w „Promieniu“ poruszyć musimy. Podajemy więc na tem miejscu wyjątki z dwóch artykułów, które w sposób dosadny i wyczerpujący wyjaśniają kwestyę wychowania moralnego w szkole i środków do wychowania tego dziś stosowanych.

W numerach 5 i 6 w artykule p. J. Moszczeńskiej p. t. „Powaga wychowawców“, czytamy:

„Gdybyśmy przez powagę rozumieli tylko uznanie władzy, poczucie zależności, przekonanie, że ci, co nas wychowują, mają prawo nam swoją wolę narzucić, kary lub nagrody wyznaczyć, że my im się bez szemrania poddać musimy, wówczas jedynym rezultatem byłaby bojaźń u dzieci*) i łączące się z nią często skłonności buntownicze. Jedno z drugiem nie tylko nie stoi w sprzeczności, ale często idzie w parze“.

„Sankcyą władzy rodzicielskiej i nauczycielskiej w oczach dziecka może być tylko wiara w ich umysłową i moralną wyższość, zaufanie i szacunek, jakie w niem budzą.

Wiek i stanowisko nie tłumaczy dzieciom dostatecznie praw, jakie nad niemi starsi posiadają. Choćbyśmy najusilniej starali się im wmówić — co zresztą bardzo często się dzieje — że starsi na mocy swego wieku i doświadczenia są zawsze lepsi i rozumniejsi niż dzieci, one w to nigdy nie uwierzą, gdyż zbyt wiele faktów, codziennie spostrzeganych, staje w sprzeczności z naszemi słowami. Mają one zwykle dość zmysłu krytycznego, by dopatrzyć i ocenić słabe strony osób dorosłych, choćby nawet swych bezpośrednich zwierzchników a nie leży bynajmniej w interesie wychowania, żeby w nich ten zmysł krytyczny zabijać. Czyż chcielibyśmy, aby dziecko naśladowało wszystko, co starsi robią, choćby to było zdrożne; czy pragnęlibyśmy, aby ono biernie podlegało każdemu kierunkowi, choćby on był fałszywym? Z dwojga złego lepiej jest, by dziecko doszło do przekonania, że jego rodzice lub nauczyciele źle postępują lub mylą się, niż gdyby złe za dobre, fałsz za prawdę uznawało tylko na tej zasadzie, że wszystko, co starsi robią, musi być mądre i dobre“.

„Obowiązek dawania przykładu jest może najważniejszym obowiązkiem wychowawców, ale zarazem najuciążliwszym i najtrudniejszym. Jeżeli jednak sami w oczach dzieci błądzić będziemy, czy nasze wskazówki i nauki moralne będą miały jaką wartość? A dalej, czy mamy prawo żądać od dzieci, aby były lepsze i rozumniejsze od nas?“

„Czyż istotnie nie jest naszem dążeniem aby to pokolenie, które wychowujemy, było lepszem i rozumniejszem od nas? Czy wszystkie nasze wysiłki wychowawcze nie byłyby marnotrawstwem energii, gdybyśmy wycho-

---

*) Wyraz dziecko zastąpić należy wszędzie przez uczeń.

wańcom naszym jako ideał doskonałości przedstawiali nasze mierne i ułomne figury?“

„Do rzeczy, które tę powagę w najwyższym stopniu osłabić są w stanie, należy na przykład ukrywanie przed dziećmi swych słabostek, pokrywanie ich kłamstwem lub blagą. Bądźmy przekonani, że dzieci nigdy długo oszukiwać się nie dadzą, a nic nas bardziej nie poniży w ich oczach niż fakt, że w obec nich graliśmy jakąkolwiek komedyę. Dojdą one naturalnie do przekonania, że się ich obawiamy, że ich sąd nam jaką ujmę przynieść może. Prześladują one nielitościwie każdą taką zdemaskowaną wielkość i czują się wprost obrażone na tych, co je oszukać chcieli“.

„Nie usiłujmy nigdy imponować dzieciom lub je rozczulać naszą dobrocią. Mówiąc do nich, unikajmy retorycznych popisów wszystkiego, co frazesem i deklamacyą trąci. Choćbyśmy mieli nawet wielki dar krasomówczy, dzieci z naszych przemówień śmiać się będą, gdyż będą miały wrażenie, że się popisujemy przed niemi. Nie traktujmy ich nigdy jako *publiczność*, o której poklask chodziłby nam mogło. Wszystko co mówimy do nich, powinno być proste i treściwe; niech czują, że mówimy na to, by coś powiedzieć, a nie na to, żeby się wygadać, — że, mówiąc zajęci jesteśmy niemi, nie sobą. Wiele gorsze jeszcze wrażenie niż wszelka kunsztowna retoryka, robi powoływanie się na nasze zasługi, poświęcenia, na miłość, jaką mamy dla naszych wychowańców i odwoływanie się do wdzięczności, jaką względem nas czuć powinni. Choćbyśmy i istotnie dla nich ponosili ofiary, osłabiamy ich wartość, jeżeli je sami zaznaczać będziemy. Wdzięczność jest w ogóle rzadką rzeczą, ale najrzadszą, prawie niebywałą wdzięczność dla takich dobroczyńców, którzy się jej domagają“.

„Jak wszystko, co przesadne i nienaturalne, tak i zbyt ostre zwalczanie zbyt drobnych przewinień szkodzi niezmiernie powadze wychowawców. Czyż mogą uczniowie seryo traktować nauczycieli, którzy przy każdej okazyi *z muchy robią słonia* i poczytują im za grzech śmiertelny niewinny żarcik, niezręczność, pomyłkę lub drobne uchybienie przepisom? Niewątpliwie wszystko, co wykracza przeciw istniejącej regule zasługuje na naganę; ale powinna ona być zastosowana do okoliczności, proporcyonalna do rozmiarów winy. Pamiętam z własnego dzieciństwa, jak mnie rozśmieszyło surowe napomnienie jednej z nauczycielek, która ze srogą miną pytała mnie, czy się nie wstydzę, że wylałam atrament. „Nie proszę pani, nie wstydzę się“, odpowiedziałam dość zuchwale, ale też do dziś dnia nie pojmuję, czego właściwie miałam się wstydzić. Gdyby mi się taka niezręczność trafiała co parę dni, możebym się nią czuła upokorzoną, ale raz na rok każdemu się przecież zdarzyć może, że coś stłucze lub rozleje“.

„Wszelkie *napomnienia odnoszące się do min, spojrzeń, uśmiechów* itp. cichych demonstracyi, są zupełnie nie na miejscu, wywołują zwykle wielkie oburzenie uczniów a powagę wychowawców osłabiają. Choćby nas takie miny jak najwięcej drażniły, choćby nas nawet niemi umyślnie drażniono, jedyny sposób a zwykle zupełnie skuteczny, jakiego użyć można jest udawać, że się ich nie widzi a raczej tak postępować, jakby się ich nie widziało. Nie możemy przecież wydać żadnego przepisu, dotyczącego wyrazu twarzy dzieci i nie możemy nawet przypuścić, aby taki przepis został wykonany. Jeżeli okażemy rozdrażnienie z powodu złośliwych spojrzeń lub ironicznych uśmiechów, będzie to dowód, że one swój cel osiągnęły. Zapanowanie nad sobą jest znakomitym sposobem do zamanifestowania swej wyższości w obec uczniów, którzy zmiarkowawszy, że nas z równowagi wytrącić nie mogą, zaniechają tej wojny szpilkami, która już niejednemu nauczycielowi życie zatruła“.

„Zresztą wychowawcy i nauczyciele często skłonni są do zbyt surowego potępiania wybryków dobrego humoru u uczniów i do przypisywania im gorszych pobudek, niż te, które je rzeczywiście wywołały. Jakaś zabawna karykatura, wierszyk, wesoły żarcik, często zupełnie nie uchybiają powadze osoby, którą za cel obrały. Nie można wymagać, żeby wszyscy *wychowawcy byli dla dzieci taką nietykalną świętością, żeby się z nich ani razu w napadzie dobrego humoru rozśmiać nie mogły;* chodzi tylko o to, aby *nie lekceważyły* tego właśnie, co oni sami najpoważniej traktują: *nauk udzielanych, napomnień, rad i wskazówek moralnych.*

O wpływie, jaki na naszych wychowańców wywieramy, *nie rozstrzyga zewnętrzna etykieta, którą im narzucimy*, lecz wewnętrzne

uznanie naszej rzeczywistej wartości. Jeżeli tylko dzieci będą miały przekonanie, że ci, co się niemi opiekują są zacnymi i rozumnymi ludźmi, że słowom ich ufać, na obietnicach polegać, na życzliwość liczyć mogą zupełnie, wtedy *poddadzą się ich kierunkowi dobrowolnie i chętnie*, a wszelkie napomnienia, dążące do podtrzymywania ich powagi, będą zupełnie zbyteczne".

Dalej przytaczamy wyjątki z artykułu p. n. „Apokryficzny środek wychowania".

„W szkołach rozwijaną bywa przeważnie tylko intelektualna strona ucznia, a strona jego moralna — traktowaną po omacku, bez systematyczności. Bowiem szereg przepisów szkolnych, często nieuzasadnionych nawet psychologicznie, nie może chyba rozstrzygać kwestyi; również nie mogą rozstrzygać jej ani przykład wychowawcy, jako nie zawsze dostępny lub odpowiedni, ani wzory książkowe, jako czynnik za mało nieraz przekonywający, ani napomnienia, rzucane wychowańcowi od czasu do czasu, a naszpilkowane gęsto wyrazami: wytrwałość, silna wola, doskonałość moralna, których często bezcelowe użycie świadczy najwymowniej, iż sami nie zdajemy sobie jasno sprawy, jakim mianowicie sposobem cenne te przymioty ludzkie osiągnąć można".

„W wychowaniu młodzieży — stosowanymi są powszechnie środki, które pochodzą z zewnątrz, działają mechanicznie i mają cel negatywny, t. j. ten, aby wola dziecka nie rozwijała się w pewnym kierunku, albo przynajmniej nie ujawniała się szkodliwie w stosunku do otaczających je osób. Napomnienie, rozkaz, ostrzeżenie, groźba, kara są tem w stosunku do dzieci, czem w stosunku do ludzi dojrzałych — przepisy policyjne, prawo karne, obyczaje i formy towarzyskie".

„Przypuśćmy, że ktoś karze nas i poniża bezustannie, jakie poruszyłyby się u nas uczucia? Okrutne wyrazy, jakimi by nas traktowano, przyjęlibyśmy z oburzeniem. Jak istota, której cielesna egzystencya została zagrożoną, opiera się i broni do ostatka sił, tak i my opieralibyśmy się wpływowi karcącej nas osoby dla ocalenia egzystencyi moralnej".

„Jak skutecznie oddziaływa na moralność idealizujące traktowanie człowieka, dowodzi najlepiej ta okoliczność, że nawet w wojsku, tej instytucyi, gdzie mechaniczne kierowanie wolą ludzką, służy niejako za zasadę, powyższy środek wychowawczy od dawna jest stosowany. W roku 1870, w czasie, kiedy cały świat był przekonanym o niezwyciężoności oręża francuskiego, książę Fryderyk Karol w wezwaniu do armii powtarzał: „Umiemy bić się lepiej!" Żądał on wówczas, aby w każdym żołnierzu wyrabiano przekonanie, że jest walecznym, bo innym być nie potrafi i aby w każdego z nich wpajano świadomość męstwa i siły. Jak wielka mądrość pedagogiczna wypowiada się w tych słowach i jak świetne uznanie znalazł tu rzeczony środek wychowawczy! Zmieńmy tylko dwa wyrazy, a otrzymamy regułę wychowania moralnego: *Należy w wychowańcu wyrobić przekonanie, że jest on dobrym, bo innym być nie potrafi i wpoić weń świadomość jego niezepsutej istoty.*

Zapytuję czytelników: czy w postępowaniu z młodzieżą nie grzeszymy zbyt często zbytnią, a z góry powziętą surowością? czy uzasadnione jest zbyt ścisłe ograniczanie woli ucznia za pomocą zewnętrznych tylko przepisów i rozporządzeń? czy w wielu razach poniżający sposób kontrolowania uczniów w pełnieniu obowiązków i zachowaniu się ich poza murami szkoły odpowiada idealizującemu obejściu się, o jakiem mówiliśmy? i czy takie mechaniczne tylko środki są w stanie ukształcić charakter ucznia rzeczywiście i trwale?"

Tyle autorowie artykułów. My zaś od siebie dodamy, że powyższe uwagi wielu z naszych pedagogów powinno sobie szczerze i poważnie wziąć do serca a stosując je w praktyce, osiągną podwójną korzyść, spełnią należycie swoje zadanie jako wychowawcy i jako nagrodę najpiękniejszą, ciężkiej pracy — otrzymają wdzięczność, cześć i przywiązanie młodzieży.

Okręty podmorskie.

Zasady, których się trzeba trzymać przy konstrukcyi okrętów podwodnych, znane już były dawno. Wynalazca holenderski Cornelius Debrell, żyjący w pierwszej połowie XVII. wieku wybudował taki okręt i niejednokrotnie zanurzał się w wodę na kilka godzin. Każde ciało, którego ciężar większy jest od ciężaru wody, któraby mogła się w jego objętości pomieścić, włożone do wody, tonie,

aby więc okręty podmorskie mogły dowolnie się zanurzać i wydostawać na powierzchnię, muszą posiadać urządzenie, pozwalające im zmieniać dowolnie swój ciężar; da się to stosunkowo dość łatwo uskutecznić za pomocą rezerwoarów, znajdujących się na okręcie a które można wedle woli raz napełniać wodą, to znów powietrzem. Inną wielką trudność, którą trzeba pokonać przedstawia kierowanie statkiem. Na powierzchni wody ster pionowy pozwala nam kierować statkiem w prawo i lewo, przy żegludze zaś podmorskiej w znaczniejszej głębokości trzeba posiadać swobodę kierowania także w górę lub w dół; dzieje się to tutaj zapomocą steru poziomego. Oprócz tego pozostaje jeszcze do przezwyciężenia wiele innych trudności, przeważnie praktycznych.

Chociaż od czasu Debrell'a na innych polach wynalazki nowsze wywołały zupełny przewrót, sprawa żeglugi podmorskiej niewiele naprzód postąpiła. Dopiero w najnowszych czasach powstały statki podmorskie, bardziej udoskonalone a mianowicie *Argonauta* i *Holland*. Wynalazcą *Argonauty* jest M. Simon Lake, amerykanin.

Lake przeczytawszy w swej młodości książkę Verne'go p. t. „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi“ ciągle myślał nad wprowadzeniem tych marzeń i pomysłów w czyn. Model teraźniejszy tego statku jest już drugim, bardziej udoskonalonym od pierwszego typu z r. 1894. Argonauta jest przeznaczony raczej do poruszania się po dnie morskiem,*) niż wśród wody. W tym celu posiada on trzy koła, na których się może toczyć. Koło umieszczone z tyłu służy do kierowania i jest przytwierdzone w dolnej części steru. Sam statek jest bardzo maleńki, bo długi zaledwie na 36 stóp, zrobiony zaś z takiej samej blachy stalowej, jak wielkie wojenne pancerniki a to w tym celu, aby mógł wytrzymać ogromne ciśnienie wody, wzrastające co dziesięć metrów głębokości o jeden kilogram na jeden centymetr kwadratowy. **) Za kotwice służą dwa ciężary po 450 kg., które mogą być za pomocą urządzenia, znajdującego się wewnątrz okrętu spuszczone na dno lub podniesione. Na przodzie okrętu znajduje się pokoik dla nurków, który z resztą okrętu jest połączony zapomocą telefonu. Siłą poruszającą jest motor gazolinowy, a gdy ten się zatrzyma, akumulatory elektryczne, w których się zbiera podczas ruchu motoru zbywająca siła.

Bardzo zajmującym jest opis przejażdżki podwodnej, podany przez jednego z uczestników do pism amerykańskich; ponieważ on się bardzo przyczynić może do lepszego zrozumienia budowy i zastosowania okrętów podwodnych, podam go w krótkości.

„Odbiwszy od brzegu *Argonauta* płynął po powierzchni z szybkością pięciu węzłów na godzinę; część wynurzona ponad wodę ciągle się zmniejszała, a pokład był zaledwie kilka centymetrów nad powierzchnią fal, które go co chwila zalewały; następnie po otworzeniu innych rezerwoarów *Argonauta* zanurzył się głębiej i zielonawo żółte światło, przechodzące przez okrągłe okienka oświetliło podłużny pokoik, którego przód zajmował motor gazolinowy i maszyna elektryczna, a tył przyrząd do kierowania sterem. Nareszcie woda zalała i zamknięte wejście, umieszczone jakby komin w górnej części okrętu, kształtem podobnego do grubego cygara. Po pewnym czasie koła okrętu stanęły na dnie zatoki Sandy Hook (nad którą leży Nowy York). Ponieważ dno było muliste, poruszał się *Argonauta* zapomocą swej śruby, podczas, gdy na dnie skalistem lub twardym piasku porusza się on zapomocą kół. Na ścianie znajdują się przyrządy, regestrujące wszystkie ważniejsze zdarzenia z życia podmorskiego a więc przyrząd, pokazujący ciśnienie powietrza, cyklometr, podobny do tych, jakich się używa przy bicyklach a nareszcie długa wskazówka, pokazująca, czy się jedzie pod górę, czy w dół. P. Lake wyjaśniał swym gościom najrozmaitsze wątpliwości, pokazywał im całe urządzenie okrętu, powiedział, że zapasy zgęszczonego powietrza wystarczą na dwa dni i wyjaśniał co możnaby uczynić, aby się wydostać na powierzchnię, gdyby się maszyny popsuły; wtedy trzebaby mianowicie w jakikolwiek sposób zmniejszyć ciężar okrętu, więc wypompować z rezerwoarów wodę, służącą za balast zapomocą pomp ręcznych, a gdyby i pompy były popsute, można odciąć dwa wielkie ciężary, w najgorszym zaś wypadku możnaby używając specyalnego urządzenia odłączyć żelazną belkę, prowadzącą u dołu przez całą długość okrętu,

---

*) Dno morskie tylko wyjątkowo jest skaliste i poszarpane, zwykle zaś płaskie, piaszczyste lub muliste, o niezbyt wielkiej spadzistości.

**) Pomimo to nie może się bez szkody i narażenia zanurzyć głębiej, jak do 40 metrów.

i straciwszy w ten sposób 2000 kg. ciężaru, polecieć jak rakieta ku powierzchni. Potem wprowadził ich do przedziału dla nurków, zamknął starannie stalowe drzwi i przeciął w ten sposób wszelkie połączenie z resztą okrętu. Następnie otworzył kurek od rezerwoaru ze zgęszczonem powietrzem, a gdy przyrząd zegarowy wskazywał, że ciśnienie powietrza wewnątrz jest równe ciśnieniu wody, p. Lake otworzył drzwiczki w podłodze i można było widzieć wodę, która z powodu ciśnienia powietrza nie mogła się wedrzeć do środka i obserwować muliste dno. Po trzygodzinnym pobycie na dnie morskiem *Argonauta* wynurzył się z wody ku wielkiemu zdziwieniu załogi przepływającego obok parowca".

Argonauta może oddać bardzo wielkie usługi, nietylko podczas wojny, przerywając kable i podkładając lub niszcząc miny podwodne, ale i przez to, że czyni zadanie nurków o wiele łatwiejszem i mniej niebezpiecznem niż dawniej.

Drugim doskonałym okrętem podwodnym jest *Holland*. Nie toczy się on po dnie, ale zanurza się, by przebywszy znaczną drogę (do 70 km.) pod wodą wynurzyć się znowu.

Holland jest 14 m. długi, jego największy przekrój ma 3 m. średnicy a pojemność jego wynosi 74 ton*). Szkielet okrętu składający się z kół stalowych, zmniejszających się od środka ku przodowi i ku tyłowi, jest pokryty płytami stalowemi 15 mm. grubemi. Gdy okręt znajduje się na powierzchni, porusza go (tak samo jak Argonautę) motor gazolinowy o sile czterdziestu pięciu koni, po zanurzeniu zużytkowuje on siłę akumulatorów umieszczonych na dnie okrętu. Oprócz tego posiada on maszynę o sile 10 koni, służącą do zgęszczania powietrza i drugą o sile jednego konia dla dostarczenia światła i zabezpieczenia wentylacyi. *Holland* jest przeznaczony głównie dla celów wojskowych, dlatego zaopatrzony jest w ośmiocalową armatę powietrzną i dwudziesto-ośmio calowy przyrząd do wypuszczania torped. Pociski armaty ważą 110 kg., z czego na bawełnę strzelniczą wypada 45 kg. Siłą wybuchową jest tu zgęszczone powietrze. W powietrzu można rzucać pociski z odległości 1800 m., torpedy zaś z odległości 900 m. Taktyka *Hollanda* wobec olbrzymich pancerników jest bardzo prosta, najpierw przypływa on pod wodą na odległość 200 m. od przeciwnika, wynurza się następnie, by zapewnić się o swem położeniu a potem puszcza torpedę.

*) Tonna 1000 kg.

Najbliższym skutkiem wydoskonalenia okrętów podmorskich będzie zupełna zmiana teraźniejszych warunków wojny morskiej, bo stalowe olbrzymy są wobec tych karłów tak bezsilne, że tylko przez jak najszybszą ucieczkę mogą się uratować od zupełnego zniszczenia.

Dzeta.

Buran.[1]

Z niczem nieporównaną jest szalona jazda po kirgizkim stepie, kiedy śnieg pokryje go na metr prawie grubą białą warstwą.

Oko się gubi w niezmiernej niepokalanie białej oddali; środkiem droga wąska na jednego konia przeżyna, zda się w nieskończoność step rozległy, a drogą spienione trzy konie, wprzężone jeden za drugim „w szydło" niosą cwałem lekką choć szeroką i wygodną „kibitkę." [2]) Konie dzikie, jak dzikim jest step, na którym wzrosły, rozwierają szeroko chrapy, jakby im brakło powietrza, jakby go chciały najwięcej w pierś szeroką zagarnąć.... Dal nieskończona ciągnie je wraz z wpółdzikim woźnicą ku sobie i lecą, lecą — kąpią się w blaskach słonecznych, spotęgowanych białością śniegu i zda się upojone swobodą i przestrzenią płyną, rozkoszują się... Dzwonek żałośnym głosem bije takt piosenki tęsknej, jak niezmierzona tęsknota i rozkosz, rozlane po całym stepie.

Ogarnia wówczas człowieka niepowstrzymana chęć lecieć tak, lecieć bez końca; pierś się rozszerza i wchłania z rozkoszą mroźne powietrze; mimowoli ci się wyrwie pieśń jakaś tęskna a zarazem burzliwa i dzika, albo hukniesz całym tchem razem z woźnicą: „Aa!!"

Niezmiernie lubiłem tak jeździć. I teraz, gdy wspomnę te czasy, zapominam na chwilę, żem już poważny człowiek, że mam żonę, i pięcioro dziatek i radbym dosiąść nieujeżdżonego kirgiza, lub wskoczyć w kibitkę zaprzężoną w trzy konie i lecieć tak przez stepy, zapomnieć o wszystkiem, o świecie ca-

[1]) Buran — słowo tatarskie znaczy: zamieć stepowa.

[2]) Kibitka — sanie rosyjskie.

łym, tylko się wsłuchać w żałośny jęk dzwonka i lecieć, lecieć bez końca..,

Oczajdusza też był ze mnie niclada. Miałem najlepsze stado koni w powiecie, z których co roku na wiosnę pędziłem „kosiak“[1]) na sprzedaż do *Buzułuka*, ale też nie było między nimi tak dzikiego, bym go dosiąść nie potrafił.

Tak, oczajduszą byłem — nie to co dziś; to też niejedna z hożych sąsiadek spoglądała na mnie mile, lubiono mię w okolicy i podejmowano jak króla, szczególniej w domach, gdzie były panny na wydaniu.

Ale niezważałem na nic i zbywałem ni tem ni owem, bo mi wpadła onego czasu w oko córka bogatego kupca w Buzułuku, Anna, czarnooka, żywa, namiętna... Lubiła, jak i ja, szaloną stepową jazdę, lubiła konie i charty, lubiła piosnki, którem jej wieczorami śpiewał przy fortepianie — a do tego była to posażna panna. Ojciec jej, Aleksander Kuźmicz, był tak zwanym „kułakiem“ t. j. handlarzem zboża.

Kto nie zna stosunków handlowych, panujących dotąd w tamtym kraju — nie ma pojęcia, jak tacy „kułaki“ wyzyskują rolników. Żydów tam niema; w mieście takiem jak Buzułuk jest takich kupców zaledwo kilku i cały handel znajduje się w ich ręku. Rolnik każdy, wyprodukowawszy pewną ilość zboża musi je przywieźć na rynek uświęconym zwyczajem, gdyż do niego nikt do domu kupować nie przyjdzie. Zapłaciwszy za przewóz musi zboże albo sprzedać, albo w magazynie za opłatą złożyć, wyczekując cen lepszych, bo odwozić do domu nie ma wyrachowania. Tymczasem kupcy, którzy się z sobą solidaryzują niesłychanie, dają tak niską cenę, że nieraz włosy stawały mi na głowie. Ale nie ma ratunku — musi człek sprzedać i wziąść co dają; „kułaki“ zaś przewożą kupione zboże koleją do Samary, tam na Wołdze czekają już barki, które holują w górę rzeki małymi parowcami i zboże idzie na rynki Moskwy, Petersburga i inne. Na takiej manipulacyi „kułaki“ zarabiają prawie zawsze w dwójnasób — czasem w trójnasób na kupionem zbożu. Producent zaś sam nie może wysłać swego towaru, gdyż barki i statki holownicze są własnością tychże „kułaków,“ a oni z zasady cudzego zboża nie transportują. Nic więc dziwnego, że gdy handel koncentruje się w ręku kilku przedsiębiorców, w krótkim stosunkowo czasie tworzą się miliony. Nieraz mię też szewska pasya porywała, widząc jak krwawica moja idzie na marne, gdy musiałem sprzedać za bezcen towar, wiedząc doskonale, że nabywca odsprzeda go z tak wielkim a niesprawiedliwym zarobkiem — ale cóż robić? żeby nabyć barki i parowice, trzeba mieć krocie, a ja zaledwo parę dziesiątków tysięcy zdobyłem ciężką kilkunastoletnią pracą.

Teraz mi się przedstawiała doskonała sposobność.

Aleksander Kuźmicz, z którym od lat kilku prowadziłem handlowe stosunki, lubił mię bardzo i raz jeden, kiedy po zawartej umowie byłem u niego na herbacie, rzekł mi wprost:

„Lubię cię, Edwardzie Stanisławowiczu, jesteś pracowity i obrotny człowiek, a grosza nie marnujesz, gdybyś chciał tylko, rzeknij słowo, a będziesz moim zięciem.“

Aniuta była jedynaczką, pieszczoną przez ojca, a tem samem jedyną spadkobierczynią jego milionów, a do tego, jakem już wyżej wspomniał, wpadła mi w oko. Dziwnie naiwną i niewinną mi się wydawała, a była przy tem oczytaną i myślącą dziewczyną. Ile razy byłem u nich, uważałem, jak rumieniła się na mój widok, spostrzegłem jak wzdychała nieraz skrycie, a od pewnego czasu zauważyłem, że zbladła trochę.

Byłem więc pewny zwycięstwa.

* * *

Trzy najlepsze z mego stada bachmaty, ulubione przezemnie, rwały się niecierpliwie przed gankiem, tak że woźnica i dwu tęgich koniuchów ledwo je, uczepiwszy się cugli u pyska, utrzymać mogli.

Nucąc wesoło przypasywałem do boku rewolwer w czarnej lśniącej pochwie, gdyż wybierałem się do miasta, gdzie miałem sprzedać wysłany wczoraj ostatni transport pszenicy i wracać z pieniądzmi do domu, — a w stepie o rozbój nie trudno. W szczególnie dobrym byłem dziś humorze. Pogoda jasna, mróz siarczysty, ale cicho — powietrze ani drgnie; a taka pogoda dziwnie dodatnio oddziaływa na człowieka — tak mu raźno, tak wesoło, a jeśli przy tem zdrów,

[1]) Stadko zawierające kilkadziesiąt koni.

młody i zakochany w posażnej pannie — to czegoż mu jeszcze potrzeba....

„Tra, la, la, la...“ nuciłem, pokręcając wąsa przed lustrem, wykręciłem się na pięcie i chwyciwszy leżącego spokojnie wyżła za ogon pociągnąłem silnie. Pies zaskowyczał i warknął z początku, ale widząc na mej twarzy wyraz szczerej swawoli, począł podskakiwać, szczekać i nuż się gonić ze mną po pokoju... Wtem brzdęk — zleciała lampa ze stołu... Opamiętałem się w jednej chwili, gdy na hałas wpadła Akulina, stara gospodyni moja, i ze zgrozą załamała ręce.

„Ach, Boże mój! Co też pan wyrabia! O Boże, Boże! przepadła lampa! Że też to się pan nie ożeni i nie ustatkuje nareszcie“ — zrzędziła stara, bezradnie patrząc na szczątki różowego klosza i naftę rozlaną na dywan. „A nie zamilkniesz mi ty...“ burknąłem ze złością, rozdrażniony tem wszystkiem, kopnąłem psa, który nie dawał za wygraną i poszczekiwał wesoło skacząc u moich nóg, zarzuciłem na ramiona „dochę“ *) i wyszedłem przed ganek. Siwy źrebiec zarżał na mój widok, za nim dwa inne i poczęły się rwać z rąk trzymających je koniuchów. Wskoczyłem do sani.

„Ruszaj!“

„Aa!!“ rozdarł mroźne powietrze przeraźliwy krzyk woźnicy, który stanąwszy w saniach, puścił cugle. Poczuwszy swobodę, konie wspięły się na zadach i skoczyły z kopyta; śnieżny pył zawirował wokoło sani, mroźne powietrze poruszone gwałtownie zatkało na chwilę usta, świst płóz po skrzepłym śniegu, tentent i jęk dzwonka zlały się w jakąś dziką melodyę, przed oczyma mignęło parę zabudowań folwarcznych i wylecieliśmy w step otwarty.

Jazda zaczęła mię upajać, chwilowe rozdrażnienie minęło zupełnie, uspokoiłem się, przymknąłem oczy i wsłuchałem się w tę dziwną muzykę, w zgrzyt sani, szum roztrącanego przez nie śniegu, tentent i prychanie koni, co stanowiło akompaniament do czystego tenora dzwonka, wyspiewującego monotonnie „diń, diń,“ a od czasu do czasu wyrastał po nad ten gwar głos woźnicy, zachęcający konie do biegu:

„Hej, gołębie! hej, sokoły! Z wzgórka na wzgórek, hej, hej:“

Jechaliśmy tak wiorst kilka; wreszcie kazałem zwolnić biegu. (C. d. n.)

*) Okrycie obrócone futrem w obie strony — zwykle jelenie.

Kronika.

Z powodu rozruchów studenckich w Rosyi. Ostatnie zaburzenia studenckie we wszystkich prawie wyższych zakładach naukowych Rosyi i zaboru rosyjskiego, które ściągnęły na setki młodzieży brutalne prześladowanie rządu, obudziły w całej cywilizowanej Europie współczucie i sympatyę dla strejkującej młodzieży, a oburzenie i wstręt dla despotyzmu, który nie waha się złamać życie najszlachetniejszym pośród narodu jednostkom, nie waha się przed użyciem broni, wojska i wysłania na Sybir, byle stłumić wszelką samodzielniejszą myśl. Nie będziemy tu podawali przebiegu rozruchów, gdyż dokładny ich obraz znajdą czytelnicy we wszystkich pismach codziennych, zaznaczymy tylko głębsze znaczenie i doniosłość ostatniego ruchu. Wychodzi on bowiem poza granice zwykłego nieporozumienia między słuchaczami a władzą uniwersytecką, lub częstych awantur z policyą a jest dowodem silnego niezadowolenia z obecnego stanu rzeczy, jest dowodem opozycyi ze strony młodzieży rosyjskiej przeciw panującemu systemowi politycznemu. — To też jest dla nas rzeczą zupełnie zrozumiałą, że młodzież polska w Warszawie przyjęła udział w ogólnym strejku studentów rosyjskich, sądzimy zaś, że najlepiej zamanifestujemy nasze stanowisko w tej sprawie, przytaczając odezwę „Zjednoczenia towarzystw młodzieży polskiej zagranicą“, wystosowaną w ubiegłym miesiącu do studentów uniwersytetu warszawskiego. Odezwa ta brzmi:

„Koledzy! Zdala od rodzinnej ziemi, słyszeliśmy odgłosy walki Waszej, pod sztandarem swobody podniesionej. Uszu naszych dobiegły tylko echa tej walki, której nie zdołały stłumić ani gadzinowe podszepty ugodowców, ani brutalna przemoc najezdniczego rządu, ani nikczemna zdrada w Waszych własnych szeregach. Dumą wzbierały nasze serca, gdy powstawaliścia do nierównego boju, oburzeniem pałaliśmy, widząc bezprzykładne gwałty władz Waszych.

„Nie przystoi nam świadkom walecznej Waszej obrony do wytrwania Was zagrzewać, lub otuchą Was pokrzepiać. Wierzymy święcie, że gwałty na Was dokonane, nie stłumią u Was zarzewia protestu, lecz raczej szeroko rozniecą

jego płomienie. Nie słowa zachęty niesiemy Wam, koledzy, — bo tych nie potrzebujecie, ale gorące wyrazy najwyższego uznania dla Waszej sprawy — dla wrogów Waszych oburzenie i pogardę. Bohaterska walka Wasza pociąga ku sztandarowi, który w krzepkich swych dłoniach trzymacie, wszystko, co jest w młodziczy naszej zdrowem i silnem i szczytnem, a mianem zdrajców napiętnuje tych, co dziś bezkarnie z wrogami kraju wchodzą w przymierze.

„Zjednoczenie Tow. Młodzieży Polskiej za granicą. Zurych w Marcu 1899“.

Z treścią tej odezwy solidaryzujemy się w zupełności.

„Konferencya inspektorów szkół średnich“, zwołana przez ministerstwo wyznań i oświaty obradowała w Wiedniu 27, 28 i 29 b. m. pod przewodnictwem szefa sekcyi Hartla. Po dłuższych obradach nad przedłożonymi referatami, zgromadzenie wyraziło przekonanie, że głównym powodem niedostatecznego funkcyonowania szkół średnich jest przepełnienie(?!) ich, co utrudnia kierownictwo zakładem i ogranicza skuteczność udzielanej nauki i jako środek zaradczy uznała konferencya surowe przestrzeganie przepisów o egzaminach wstępnych i wprowadzenie przepisu, że uczniowie nie posiadający odpowiednich kwalifikacyi mogą być wydaleni w ciągu i po upływie pierwszego półrocza....“

Spostrzegli więc ostatecznie nasi przełożeni, że konieczną jest reforma szkół średnich. Ale strach, jakie oni wynajdują środki zaradcze brakom. Chcą coraz więcej przymykać wrota do nauki biednym — bo oczywista najsurowsze przepisy nie dotyczą nigdy „arystokratycznych kretynów“. U nas w Galicyi najbardziej można odczuć uchwały konferencyi. W kraju, gdzie jest 72 prc. analfabetów będą istnieć szkoły tylko dla „uprzywilejowanych“ — będzie więc wtedy możliwem powiedzieć „że w Galicyi jest aż za dużo oświaty“.

Hygiena w gimnazyum V-tem we Lwowie. Otrzymaliśmy ze sfer studenckich list, którego autor, podpisany *ins,* skarży się na opłakane stosunki hygieniczne w szkołach naszych specyalnie w gimnazyum V-tem we Lwowie.

Gimnazyum to cieszy się wielką frekwencyą, ale pod względem umieszczenia stoi na ostatniem miejscu wśród średnich szkół lwowskich. Mieści się ono mianowicie w dwóch budynkach: w klasztorze OO. Bernardynów przy ul. Wałowej (budynek główny) i w prywatnym domu przy ul. Podwale (filia). Ilość uczniów wzrasta corocznie, a ilość sal pozostaje ciągle ta sama (dyrektor gimnazyum tłómaczy się, że Rada szkolna nie pozwala mu więcej sal wynajmować) każda prawie klasa liczy przeszło 40 uczniów, a są i takie, gdzie mieści się uczniów 60 (przynajmniej tak było w ubiegłym roku szkolnym). Część budynku położona w parterze jest zupełnie wilgotna, tak że w ostatnich czasach musiano ściany sal obić do połowy deskami, istnieją zaś 2 sale wprost niemożliwe. I tak klasa VII b. (obecnie) o długości 8—9 m a szerokości 3—4 m, mieści w sobie przeszło 30 uczniów i ma oprócz tego to szczęśliwe położenie, że pod nią znajduje się kuchnia OO. Bernardynów a obok niej komórka, służąca do przechowywania różnego rodzaju rupieci; natomiast obecną kl. V w parterze, licząca 41 uczniów, jest cała wilgotna i ma okna wychodzące na podwórze domu przyległego, gdzie mieszczą się stajnie krów, koni etc., tak iż w lecie wprost niemożliwem jest okna otworzyć.

W końcu autor wypowiada zupełnie słuszne zdanie, że obowiązkiem władz szkolnych jest dbać o stosunki hygieniczne i zapobiegać naturalnym źródłom chorob; my odpowiedzieć możemy tylko: czekajmy lepszej przyszłości, pocieszajmy się nadzieją, że z chwilą ustanowienia lekarzy szkolnych (a taki wniosek Sejm przedstawił już rządowi) polepszą się stosunki, na razie starajmy się poza szkołą wynagrodzić te braki, jakie istnieją, wycieczkami, przebywaniem na wolnem powietrzu i dbałością o swe zdrowie.

Głos do „Promienia“. Pod tym tytułem otrzymaliśmy artykuł, którego autor, podpisany pseudonimem *Σιγμα*, przedstawia nam projekt przekształcenia „Promienia“ w dwutygodnik. — Odpowiadając zaznaczamy, że projekt powyższy jest naszem dążeniem od początku istnienia naszego pisma, na razie jednak urzeczywistnić go nie możemy dla braku silnej podstawy finansowej. Prędsze lub późniejsze wprowadzenie tej myśli w czyn, zależy w zupełności od poparcia tych, których sprawom „Promień“ jest poświęcony.

Wydalenia uczniów z powodu nie zapłacenia opłaty szkolnej. W lwowskiej szkole realnej wydalono kilku uczniów kl. V i 3-ch uczniów w kl. VI za to, że w terminie nie zapłacili dydaktrum. Fakt ten na pozór legalny, bo będący wynikiem przekroczenia dotyczących przepisów szkolnych, przedstawi się nam w innem świetle, gdy zważymy, że po ogólnem przypomnieniu, odnoszącem się do wszystkich,

a odczytanem około 15 marca, nie wystosowano już drugiego, ewentualnie trzeciego przypomnienia do tych, którzy nie zapłacili, a rodzicom o niezapłaceniu dydaktrum dano znać dopiero wtedy, gdy już synów ich z katalogu wykreślono (jeden taki fakt sami bezpośrednio stwierdziliśmy), Postępowanie to charakteryzuje dosadnie „ojcowski“ stosunek dyrektora zakładu do młodzieży. Bo przypuśćmy nawet, że lekkomyślność uczniów wydalonych godną była skarcenia, ale czyż mają cierpieć także ich rodzice, którzy nagle ni stąd ni z owąd dostają wiadomość o wykreśleniu swych synów. Czyż godzi się tak lekkomyślnie wydalać uczniów i czyż widać w tem dbałość władzy szkolnej o dobro powierzonej sobie młodzieży? Sam byłem przez ośm lat w gimnazyum, ale nie przypominam sobie, żeby kogo kiedykolwiek wydalono za niezapłacenie opłaty szkolnej, zawsze sprawy tego rodzaju załatwiane były bez szkody obu stron. Przypuścić chyba możemy, że surowe te kary są następstwem ostatnich zajść w lwowskiej szkole realnej, ale czyż za jedną klasę pokutować mają wszystkie?

Niesprawiedliwe kary. W jednem z gimnazyów lwowskich zdarzyło się, że pewien uczeń z wyższej klasy trzymał w ręku przed szkołą „Fauna“, pismo humorystyczne. W tem przyskoczył do niego jeden z nauczycieli, skonfiskował mu numer, zwołał osobną konferencyę, która skazała ucznia na 12 godzin karceru. Tenże szanowny pedagog pociągnął innego znowu ucznia, również z wyższego gimnazyum, do odpowiedzialności za to, że uczeń ten był w teatrze na sztuce, która nauczycielowi prawdopodobnie nie przypadła do smaku, pomimo że co do tej sztuki nie było żadnego specyalnego zakazu dyrektora, a w myśl przepisów szkolnych uczniom wyższych klas wolno samym chodzić do teatru. W tym ostatnim wypadku bezprawie było zbyt rażące, tak że gospodarz klasy cofnął wymierzoną przez owego profesora surową karę.

Dodamy z naszej strony, że nie przytaczalibyśmy takich faktów, które są drobnostkami i w dzisiejszej szkole zdarzają się zbyt często. gdyby nie grupowały się one około osoby jednego i tego samego profesora, który zaczyna przebierać miarkę w wymierzaniu swej sprawiedliwości.

Kwiatek naszej pedagogii. Smutne to — bardzo smutne, że młodzież spotykają dzisiaj zarzuty zepsucia, zdemoralizowania i t. d., ale o wiele smutniejszym faktem jest to, że ci, na których cięży obowiązek naprawy złego — sami są siewcami zepsucia, przyjmując na siebie rolę żandarmów! Bo czyż można inaczej nazwać postępek pewnego księdza — profesora we Lwowie, który w ostatnich czasach odbył wizytacyę (rewizyę) w pomieszkaniu jednego z uczniów, przewracając jego książki, skrypta i t. p.

Trzeba nadmienić, że troskliwy o dobro młodzieży pedagog od dawna wybierał się w pielgrzymkę po stancyach studenckich, żeby się przekonać, „czy mieszkanie którego nie jest wilgotne...!“ lecz dopiero w ostatnich czasach chwalebną myśl w czyn zamienił, zapominając całkiem o poczuciu swej godności i powołania*) Nie mało błędów można zarzucić obecnemu systemowi szkolnemu — ale żeby nauczyciel i duchowny przewodnik młodzieży brał na siebie rolę żandarma — tego już za wiele! Jeżeli zaś szanowny wizytator czuje w sobie powołanie do takiego zawodu, to dajemy mu jedną radę: niech idzie pod rozkazy „białego cara“, a tam pod osłoną bagnetów będzie mógł z chlubą i zyskiem pełnić funkcye pedagoga — „donosccwa“!

Historya alchemii.

W historyi rozwoju nauki chemii zajmuje alchemia dość obszerny, choć mało znaczący okres. Obejmuje on 12 wieków, tj. od 4-tego wieku po Chrystusie do początku wieku 16-tego a da się streścić jako okres bezskutecznych zabiegów około wynalezienia sposobu, zapomocą którego możnaby metale nieszlachetne przerabiać w szlachetne. Idea uszlachetniania metali zajmowała przez całe stulecia umysły nietylko ludzi poświęcających się chemii, lecz także wielu niepowołanych, których astrologiczne i kabalistyczne nonsensa sprowadziły alchemię na jeszcze większe bezdroża.

Powód do tego błędnego przypuszczenia, że taka przemiana metali jest rzeczywiście wykonalną, dały różne powierzchowne doświadczenia. I tak spostrzeżono, że żelazne narzędzia górnicze, zanurzone w wodzie, wydobywanej z kopalni miedzi, powlekały się miedzią; wywnioskowano więc, iż żelazo przemieniło się w miedź. Zjawisko zaś, że

*) Nazwiska nie wymieniamy w nadziei, że powyższe słowa przyprowadzą do opamiętania ks. profesora.

miedź przez dodanie pewnych substancyj, (np. galman, arszenik, siarczek arsenu) przybierała kolor żółtawy lub białawy, stając się podobną do złota lub srebra, naprowadziło obserwatorów na myśl przemiany miedzi w złoto lub srebro. Te alchemistyczne zapatrywania i usiłowania zaczynają się już w zamierzchłej starożytności u wszystkich prawie ludów, nie mamy jednak żadnych o nich pewnych wiadomości, tyle tylko wywnioskować możemy, że alchemia wszędzie uważana była za wiedzę tajemną i świętą. Dopiero z początkiem wieku III. po Chrystusie znajdujemy w zapiskach akademii aleksandryjskiej w Egipcie bliższe informacye. Egipt, był wówczas siedzibą bardzo wysokiej cywilizacyi a Egipcyanie nader gorliwie zajmywali się sztuką chemiczną, medyczna więc i alchemia znalazła w nich zwolenników i propagatorów, tak iż nawet akademia aleksandryjska brała żywy udział w usiłowaniach alchemistycznych. Według podania, bardzo rozpowszechnionego w pierwszych wiekach naszej ery, była alchemia sztuką, przez demonów z nieba przyniesioną; Zosimos z Panopolis nazywają *chemeia*, a książkę, w której zasady tej sztuki są podane, *chemeu*. Późniejsi alchemiści przenosili początek alchemii aż do czasów przedpotowych, wskazując na miejsca z Pisma Świętego przedstawiali takie osobistości jak Mojżesza i św. Jana Ewangelistę jako alchemistów, sądząc, że przez to nadają alchemii szczególną powagę i Świętość. W Egipcie np. uważano alchemię za sztukę świętą, utrzymywano ją w tajemnicy i tylko kapłani i synowie króla byli w nią wtajemniczeni, powszechnie zaś sądzono, że *Egipt zawdzięczał alchemii swoje bogactwa.* Cały szereg pisarzy zajmuje się zagadnieniami takiemi, jak wynalezienie kamienia filozoficznego, zamieniającego srebro w złoto, i wody boskiej (Panacea), zapewniającej wieczne zdrowie; na alchemię oddziałują także astrologia i magia i stąd powstają przypuszczenia, że *planety wywierają pewien wpływ na formowanie się metali.* Wśród wielu autentycznych pism tego rodzaju mnoży się liczba falsyfikatów, które późniejsi alchemiści przypisują uczonym greckim np. Talesowi, Platonowi, Heraklitowi. Z początkiem wieku 5-tego studya alchemistyczne w Egipcie dochodzą do najwyższego rozkwitu, po czem z wiekiem szóstym przenoszą się do Byzancyum (dzisiaj Konstantynopol); w Egipcie jednak mimo to, i pomimo spalenia biblioteki aleksandryjskiej przez Omara w wieku 7. badania chemiczne nie ustają, a to dlatego, że znajdują one zastosowanie w rozmaitych gałęziach przemysłu.

Tymczasem niezależnie od usiłowań byzantyńskich alchemistów, zasłynęli na polu alchemii Arabowie, znani zresztą ze swoich zasług w medycynie, optyce i matematyce. Szczególnie odznaczył się lekarz arabski *Geber*, żyjący w wieku ósmym, którego dzieła ogromne miały znaczenie w średnich wiekach, ale dopiero na początku 16-tego stulecia z arabskiego na łaciński język zostały przełożone. Człowiek ten, którego działalność jest bardzo doniosłą dla rozwoju rzeczywistej nauki chemii, dał się jednak uwieść złudzeniom alchemistycznym i zmarnował wiele czasu pracując nad wytłómaczeniem alchemii. I tak postawił on hypotezę, że *wszystkie metale składają się z siarki i rtęci, szlachetne metale zawierają więcej rtęci, nieszlachetne więcej siarki, przemiana więc żelaza lub ołowiu w srebro, względnie w złoto, polega na usunięciu siarki a dodaniu rtęci, do osiągnięcia zaś tego celu miały służyć różnego rodzaju t. zw. medycyny.* Tak prosta hypoteza trafiła odrazu do przekonania alchemistom; nie starali się oni nawet jej uzasadnić i przez całe wieki jej się trzymali.

Za pośrednictwem Arabów dostała się alchemia do zachodniej Europy, do Francyi, Włoch, Niemiec. I tak słyszymy w wieku XI. o jednym alchemiście biskupie bremeńskim, Wojciechu, którego jakiś żyd wychrzta, pochodzący z Grecyi, i utrzymujący, że posiada sztukę przemiany miedzi w złoto, zwiódł i zachęcił do studyów alchemistycznych. Do największego blasku doszła alchemia w tych krajach w wieku XIII. Zajmują się nią głównie duchowni a występuje ona w związku z filozofią scholastyczną; poświęca jej swą uwagę nawet św. Tomasz z Akwinu, który także wierzy święcie w możliwość przemiany metali. Wymieniamy tu kilka nazwisk bardziej znanych i wybitnych alchemistów.

Albertus Magnus, Dominikanin z w. XIII., zażywający wielkiej sławy i powagi, czego dowodem następujący, nadany mu tytuł: „Magnus in magia naturali, maior in philosophia, maximus in theologia.“ (Wielki w naturalnej magii, większy w filozofii, największy w teologii). Drugim był znany *Roger*

Baco, angielski uczony, obdarzony w nagrodę swej gruntownej wiedzy przydomkiem „Doctor mirabilis.“ W nauce ma on tę zasługę, że wprowadził metodę doświadczalną, to znaczy badanie zjawisk i praw przyrody zapomocą doświadczeń; sam jednak nie bardzo jej się trzymał, bo na ślepo wierzył w siłę kamienia filozoficznego, który, zdaniem jego, może milionowy ciężar nieszlachetnego metalu przemienić w złoto, nawet przedłużyć życie. Trzeci *Arnold Villanovanus*, działał jako lekarz w Hiszpanii, ponieważ jednak popadł w zatarg z duchowieństwem, musiał uciekać i schronił się na dwór sycylijski cesarza niemieckiego Fryderyka II. Ma on znaczenie w zastosowaniu chemii do medycyny na polu t. zw. jatrochemii; jako alchemista stał na temsamem stanowisku, co i jego poprzednicy. Czwartym wreszcie jest *Raymund Lullus*, pochodzący z Hiszpanii, (XIII. w.), który zasłynął jako misyonarz, w nawracaniu niewiernych i poniósł śmierć męczeńską w Afryce; po za tem pielęgnował alchemię, a kamieniowi filozoficznemu przypisywał olbrzymią moc. „Morze zamieniłbym w złoto, gdyby ono było z rtęci,“ wołał on, a równocześnie był pewnym, że z równym skutkiem kamień filozoficzny da się zastosować do otrzymania złota, wszelkiego rodzaju drogich kamieni, do przedłużenia życia itd.

W następnych wiekach XIV. i XV. znalazła alchemia przytułek na dworach królów i książąt europejskich, którzy przy jej pomocy chcieli zaradzić złym finansom państwowym. Np. Król Henryk VI. w Anglii, zniósł surowy zakaz swego poprzednika co do zajmowania się alchemią i zalewał fałszowaną przez alchemistów złotą monetą sąsiednie kraje. Podobnie król francuski Karol VII., ulegając pokusom alchemistów, powiększył jeszcze bardziej długi swego państwa.

Oszustwa te podkopały bardzo znaczenie alchemii. Mimo to zajmowano się dalej i tak w 15. wieku odznaczył się w alchemii mnich zakonu Benedyktynów, Basilius Valentinus. Pozyskał on sobie zaufanie i sławę u alchemistów, jeszcze większą, niż Geber i Lullus. Przez swoje dzieła zwrócił na siebie uwagę cesarza Maksymiliana I., który kazał za nim szukać po wszystkich klasztorach benedyktyńskich. W dziełach tych okazuje się z jednej strony bardzo gruntownym badaczem połączeń chemicznych, szczególnie znajdujących zastosowanie w medycynie, imponuje nam swojemi wiadomościami chemicznemi; z drugiej strony występuje jako zaciekły obrońca problematów alchemistycznych i wtedy staje się niejasnym i niezrozumiałym. (Dok. nast.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Benedykt W. Artykuł n a r a z i e odkładamy.

Σιγμα, M. H. S. Wiersze nie nadają się do druku.

Młody. Sprawę omawiamy w osobnym artykule.

Ewelina Este. Zette Z powodu opóźnionego nadesłania artykułów kwestya ich umieszczenia odłożona do następnego numeru.

Ins. Rzecz umieszczona w kronice.

Kol. Felitas. Wiersze odłożone.

Od Redakcyi.

Upraszamy kolegów o nadsyłanie artykułów, które pragną ujrzeć w najbliższym numerze „Promienia“ zawsze najdalej do 20. Podajemy do wiadomości czytelnikom, że egzemplarzy II. numeru naszego pisma nadsyłać nadal nie możemy z powodu wyczerpania całego nakładu.

Przypomnienie.

Prosimy tych czytelników, którym skończył się kwartał, o rychłe odnowienie prenumeraty.

Wydawca: **Władysław Wolski.** Odpow. redaktor: **Aleksander Wieleżyński.**

Z Drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Z. Hałacińskiego.